

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STRZEMIENICZYK

Józef Kraszewski

Strzemieńczyk

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843938

Strzemieńczyk:

Аннотация

Grzegorz z Sanoka herbu Strzemię był polskim biskupem, profesorem akademicki, wybitnym humanistą i poetą. Kraszewski uczynił go bohaterem jednej ze swoich powieści. Poznajemy młodego mężczyznę, który jest zafascynowany nauką, ale ojciec nie pozwala mu rozwijać swoich zainteresowań. Pewnego dnia Grzegorz opuszcza dom i udaje się do Krakowa, gdzie podejmuje studia, następnie kończy studia zagraniczne by po latach wrócić do kraju jako biskup. Dzięki swojej wiedzy i erudycji staje się znany i wstępuje na dwór królewski, by stać się doradcą króla Władysława Warneńczyka, aż do ostatnich dni władcy. Strzemieńczyk to jedna z 29 powieści historycznych wchodzących w skład cyklu Dzieje Polski Kraszewskiego.

Содержание

Tom I	4
I	4
II	29
III	55
IV	82
V	105
Конец ознакомительного фрагмента.	121

Józef Ignacy Kraszewski

Strzemieńczyk

Tom I

I

Ktoby był wiosennego jednego wieczora 1412 r., spotkał się z panem Cedrem Strzemieńczykiem i zajrzał mu we krwią nabiegłe oczy, przypatrzył się pofałdowanemu jego czołu, zaciętym ustom i ręką silnym w kułaki jakby do boju pościskany, uwierzyłby łącznie temu staremu podaniu, które głosiło, że rodu tego ludzie, Strzemieńczycy, głównymi byli i najokrutniejszymi przy zabójstwie św. Stanisława, popędliwego króla pomocnikami.

Temu przypisywano, że ród Strzemieńczyków, od owego dnia krwawej pamięci, upadł, zubożał i do pierwszej świetności podźwignąć się już nie mógł.

Cedro Strzemieńczyk, choć z dobrego szlacheckiego wódł się gniazda, choć pradziad jego jeszcze znaczne majątności dzierzył w krakowskim, zubożał był zupełnie, nie miał nic nad mizerny chłapek ziemi pod Sanokiem, z którego wyżyć jemu ze dwojgiem dzieci byłoby trudno, gdyby go łaska królewska nie posiłkowała.

Pamiętni dawnych z tym domem związków, Różyce i Śreniawici, polecili go królowi Jagielle, przy którego on dworze się wysługiwał, pełniąc różne obowiązki.

Ale teraz, choć się zawsze na rejestrze dworu pańskiego liczył i pobierał jurgielt jakiś, do niczego już zdolnym nie był. Wiek, zgryzoty, przecierpiane niewczasy, choroba i sam charakter zgryźliwy, który ciągle mu krew burzył, do ostatka, niegdyś olbrzymią siłę, wyczerpały.

Nie miał Cedro nad lat sześćdziesiąt, co naówczas człowieka starym nie czyniło, bo ludzie zahartowani od młodu, trzymali się długo krzepkimi, lecz patrząc nań, można mu było dać dziesiątkiem więcej, tak podupał, szczególnie na nogi.

Ogromny wzrost i tuszę dźwigać mu już było ciężko i one go słabszym czyniły. Na nogach ledwie się trzymał, dyszał ciężko, gdy się trochę przeszedł lub rozgrzał rozmową, w piersi mu chrzęszczało, a lada drobnostka wprawiała go w chorobliwy gniew i zapamiętanie.

Nieraz latem brzęczenie muchy do wściekłości go niecierpliwiło.

Był Cedro Strzemieńczyk wdowcem od lat dziesiątka, a po żonie świątobliwej niewieście, synaczków mu dwóch zostało. Przy ubóstwie wielkiem i siłach ubywających, troska o nich dniem i nocą pokoju mu nie dawała; a choć dziećmi się gryźć nie miał powodu zbytecznie, stękał, że ani im ma co zostawić, ni ich komu powierzyć, ani się spodziewać może sam wychować i w świat puścić.

Czuł on, że sam coraz mniej mógł nawet na chleb powszedni zarobić, nadzieję więc całą widział w chłopcach.

Mąż rycerskiego rzemiosła, niegdyś łowczy i stanowniczy króla, nie rozumiał dla dzieci innej przyszłości, tylko służbę na koniu z kordem u pasa.

Młodszy syn, ulubieniec ojca, którego Zbilutem wołano, do stanu rycerskiego okazywał powołanie, jakiego ojciec sobie życzył; lecz był też jak przyszły wojak, niepomrotnie zuchwały, drapieżny, a co gorzej przebiegły, płaszcący się, kłamca zręczny i pochlebnik. Ojciec mu wiele przebaczał i widząc w nim wszystko najlepsze, po nim sobie najwięcej rokował. Starszego Grzesia cierpieć nie mógł, bo mu się krnąbrnym i upartym wydawał.

Ten się ojcu nie wykłamywał nigdy, karę znosił cierpliwie, ale się do myśli jego nałamać nie dawał.

Właśnie dnia tego Cedro go zbił na kwaśne jabłko, a chłopak choć się krwią oblał, nie pisnął nawet i poprawy nie przyobiecał...

Ojciec krzyczał, że z nim na gałąź potrzeba, bo innej rady niema.

Trudno się było domyśleć o co mu chodziło. Oto Grześ ów, starszy, mimo zakazu całe dnie, gdy się tylko wymknąć zdołał, trawił w szkole z klechami, taką miał do nauki ochotę. Cedro zaś dla rycerskiego człowieka, bakałarstwo znajdował niepotrzebnem. Śpiewywał też ślicznym głosem w kościele Grześ, co jako babską rzecz, ojciec potępiał.

– Klechy w rodzinie mieć nie chcę i nie potrzebuję – powtarzał ciągle stary.

Grześ teraz dwunastoletni, Zbilut o dwie lecie młodszy, przykazanem mieli od rana dziurytem rzucać, z łuku strzelać, w szable się ścinać i na koniach starych, które umyślnie Cedro trzymał na to, toczyć i wprawiać się do silnego siedzenia. Zresztą wolno im było jakie chcieli harce wyprawiać, byle nie ślęczyć nad abecadłem i tablicą.

Jakby na przekorę rodzicowi, starszy poznawszy się z bakałarzem przy farze, który go polubił, ciągle zbiegał do niego, potajemnie się uczył chciwie pisma, śpiewu i co tylko szkoła dać mogła, przesiadywał w niej, a choć ojciec go za to srodze ciemnił, nauki tej, do której się palił, z głowy mu wybić nie było można. Cedra to czasem we wściekłe gniewy wprawiało, naprzód że nieposłuszeństwa w dziecku ścierpieć nie mógł, powtóre, że nauką jako rycerzowi niepotrzebną się brzydził, a klechów nią się parających nie znosił. Było to może we krwi.

Pobożnym po swojemu był, ale duchowieństwa więcej się lękał, niż je szanował.

Dwaj bracia, dosyć do siebie z twarzy podobni, oba piękni bardzo, jak malowani, bo to wzięli po matce, charakterami się od siebie różnili wielce.

Nie kochali się też bardzo, choć Grześ młodszemu krzywdy nie czynił.

Ulubieniec ojca rozpieszczony, młodszy starszemu

wszystkiego zazdrościł, podglądał go, szpiegował, ojcu donosił, gdy co pochwycił, lizał mu się i przypochlebiał nikczemnie.

Zbroił-li co i na karę zasłużył, umiał się zręcznie wyklamać i wyprzysiądz, na brata winę złożyć, a rodzicowi do nóg paść i płacz a skrucę udawać, choć się potem wyśmiewał z jego łatwowierności.

W młodym wieku w niwecz już był popsuty... Uchwycić coś potajemnie, złasować, psotę krwawą wyrządzić, słabego zgnieść, zwierzę męczyć, było dlań najmiłszem. Gdy swawolić nie mógł, do góry brzuchem leżeć objadłszy się i próżnować gotów był dnie całe.

Ojcu się przypochlebiając, z tyłu mu język pokazywał i szydził sobie z jego niedołężności.

Tak samo postępował z bratem i ze wszystkimi. Na zuchwalstwie mu nie zbywało, a męztwa prawdziwego nie miał i stanąć do walki z mocniejszym się nie ważył.

Gdy go rówieśnicy na rękę wyzywali, uciekał... Słowem, wszystko w nim rokowało niepoprawnego łotra i rozpustnika.

Grześ miał też samą krew gorącą, ale charakter szlachetny, moc duszy nad wiek swój, wytrwałość i statek nadzwyczajny. Zdolności też, na których bratu zupełnie zbywało, okazywał zdumiewające.

Bakałarz od fary, który w szkole tamtejszej uczył, mawiał często, że Grześ zdawało się jakby sobie przypominał tylko to, czego nauczano go, tak mu wszystko łącznie przychodziło. Dziwniejsza rzecz, byłę najmniejszą skazówkę miał, sam już

dalej szedł tą drogą jaką mu ukazano, nauczyciela w zdumienie wprawiając.

Piękny, zręczny, silny, dobrze zbudowany, z oczyma dużymi, ciemnymi, w których już nie dziecięcy rozum gorzał, Grześ rwał się tak do nauki, jak Zbilut się nią brzydził.

W początkach nie był ojciec temu przeciwnym, aby synowie się czytać nauczyli, ale klechów z nich robić nie myślał i ta Grzesia namiętność uczenia się coraz więcej, coraz innych rzeczy, okrutny gniew w nim obudzała.

Śpiewanie i brząkanie na cytrze, karał smaganiem nielitościwem...

Zakazał mu przestąpić później próg szkoły, bakałarzowi zagroził, jeśliby go śmiał przyjmować, siekł nieposłusznego, ale wszystko to nie pomagało.

Grześ, gdy się nie mógł przekraść ku farze, pisał po ścianach i piasku. Zbilut ojcu o tem donosił, Cedro bił, a chłopak wracał do swego i poprawy nawet nie przyrzekając, milczał.

Ciągła więc walka była pomiędzy krnąbrnym Grzesiem a gniewliwym rodzicem.

Dnia tego właśnie stary Cedro miał znowu taką z synem przeprawę. Oskarżył go Zbilut zdrajca, że na strych wlaższy, potajemnie tam coś pisał, dostawszy nie widzieć z kądem kawał papieru czy skóry...

Pochwycono go na uczynku, z kartą jeszcze mokrą, ojciec obił go znowu, a teraz zburzony cały, po izbie w dworku swoim się przechadzał, z gniewu jeszcze nie mogąc ochłónąć. Nie mając

się przed kim skarżyć, mruczał i kłął po cichu.

Sponiewierany chłopak, z potarganą czupryną, oprócz różeg napytawszy sińców, siedział za węglem dworku, podparty na rękę i dumał.

Boleść mu łyzy z oczów wycisnęła, ale na pięknej, smutnej jego twarzyczce więcej było zadumy, niż gniewu... Dwunastoletnie chłopię rozmyślało...

Z za drugiego węgla niepoczciwy Zbilut wyglądał, podpatrywał, aby coś donieść ojcu na brata. Nie mógł jednak dojrzeć w nim tej złości, jakaby on sam uczył, gdyby go podobna kara spotkała. Grześ biedny wzdychał i dumał. Widać było, że ojcowską władzę, nawet gdy niesprawiedliwie karciła, uznawał i poddawał się jej z pokorą, szukając tylko środków, aby pogodzić wolę ojca z tem, czego własna jego dusza pragnęła.

Dawszy się bratu wywzdychać, Zbilut, który zarówno ojca jak jego okłamywał i udawał że się nad losem Grzesia lituje, zbliżył się powoli do niego.

Twarz na pół dziecięca, niezręcznie przybrać usiłowała wyraz serdeczności i współczucia, po za którym kryło się szyderstwo.

– A! a! – szepnął po cichu – mój Boże! jaki ten ojciec okrutny i niemiłosierny... To cię skatował!

Grześ popatrzył nań i nic nie odpowiedział. Zbilut stanął przed nim, bacznie w niego wlepiając oczy. Chciał wyzwać na słowo, któreby ojcu powtórzył. Starszy milczał.

– Po co bo tobie ta szkoła i głupie pisanie – dodał.

Ramionami poruszył tylko Grześ. Domyślał się i odgadywał

brata, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę.

Tymczasem mrok nadchodził i gospodyni wieczerzę do izby niosła, chłopców na nią wołając. Grześ wyprosił sobie u niej suchy chleba kawałek i pozostał za węglem.

Ojciec też, obejrzawszy się że go niema przy stole, nawet się nie upomniał o niego. Poczekawszy dopiero, gdy Cedro jedząc ochłonał, Zbilut się odezwał po cichu.

– Grześ za węglem siedzi, kułaki gryzie ze złości, żeby choć zapłakał!!

– Milcz – przerwał stary krótko i ostro.

Nie lubił on Grzesia, widok jego obudzał w nim gniew niepohamowany, chęć złamania uporu tej duszy krnąbrnej, ale dziwił się temu charakterowi żelaznemu syna i litował nad nim.

Przy wieczerzy stary jadł mało, mruczał, pięścią o stół bił, na pochlebcę nawet nie spojrzał. Cały był w sobie, myśląc nad środkami, jakiemiby nieposłuszne dziecko mógł poskromić.

Nieprędko też legł spać Cedro, choć się czuł zmęczonym i zbolałym.

Zbilut, w rękę go pocałowawszy, ścisnąwszy za kolano, nie zaglądając do brata, wysunął się do izby, w której oba sypiali i do snu pospieszył...

Najpóźniej, na palcach, po cichu, wśliznął się do komory Grześ i nie rozbierając rzucił na posłanie.

Nazajutrz rano, gdy Zbilut, słysząc szmer we dworku, oczy przetaił już o białym dniu na posianiu obok Grzesia nie było.

Ojciec nie pytał o niego.

Zbilutowi zaraz na myśl przyszło, że brat pewnie chyłkiem zbiegł do fary, na skargę do bakałarza, który był jego opiekunem i powiernikiem...

Nie mylił się chłopak domyslny i byłby może korzystał z tego, puszczając się za bratem i śledząc kroki jego, aby o nich donieść ojcu, ale pilniejszego coś miał do czynienia, bo żarłocznym był i łasym, a naprzód musiał u gospodyni coś odkraść, aby głód zaspokoić. Wiedział też kędy kury się nosły i jaja podbierał, które ze smakiem wypijał.

Stary Cedro wkrótce się wywłókł na miasto.

Od dworku Strzemińczyków do fary, spory kawał drogi iść było potrzeba krętymi uliczkami, ale Grześ miał sobie tylko znaną, bliższą drożynę, między sadami i płotami, którą się był zwykł przekradać.

Budynek szkolny przy farze, w którym się bakałarz z kantorem mieścili, tak był nędzny i opuszczony, jak większa część podobnych domostw w onym wieku. Wprawdzie nie było znaczniejszego kościoła, któryby szkoły nie miał, choć do niej niewiele dzieci uczęszczało, ale mało gdzie starano się pilniej o ściąganie ich i regularne nauczanie młodzieży. Szedł kto chciał i kogo posłali rodzice.

Byli przy Farach scholastycy, którym dozór szkół z obowiązku przypadał, ale ci doglądali tylko, aby bakałarz wedle przepisów synodalnych naukę wpajał i religijne zasady. Nikt do szkoły nie napędzał.

W miastach niektóre rodziny, liczniejszym mężkiem

obarczone potomstwem, w widokach poświęcenia stanowi duchownemu jednego z synów oddawali bakałarzowi. Posyłała dzieci z tąż myślą uboga szlachta. Dla wielu duchowna sukienka wydawała się lżejszą do noszenia od kubraka i zbroi.

Bakałarze, klechy, kantorowie byli to także biedacy, albo wzdychający do święceń lub klerycy niedouczeni, którzy nie mogli ich otrzymać, głodem przymierali posługując przy kościołach.

Z mnogich jednak widać przykładów, że w takich szkółkach dosyć skutecznie uczono pierwszych zasad, krzewiono początkowe przygotowawcze wiadomości, gdy tacy z nich ludzie wychodzili jak arcybiskup Wojciech Jastrzębiec, co zaczął od farnej szkoły w Bensowie.

Nie wzdragała się ich szlachta uboższa, synów na księży chcąc sposobić, a osobnego bakałarza trzymać do nich nie mogąc.

Za kostnicą, między murowanym domem proboszcza a wikaryą, stała drewniana szkoła, tak opuszczona i biedna, że nielepiej od chlewu wyglądała. Jedna w niej pusta izba była dla młodzieży przeznaczoną, reszta służyła za skład łomu i rupieci kościelnych, a komora przylegająca za schronienie kantora i bakałarza. Niezawsze nawet szkoła ta niezajętą bywała, bo w lecie gospodyni proboszcza rozkładała się w niej nieraz z zieleń i warzywem, jesienią z owocami i nasionami, a szanować musiano co pieczy bakałarza powierzyła.

Dziwnymi też zapachami woniała nieprzewietrzana szkoła, bo w niej jadło, konopie, zieleninę, stęchliznę, dym przywrzały do

ścian i kościelnego kadzidła resztki, razem się mieszały.

Światło wpadało skąpe, a oprócz ław na wbitych w tok nogach i stołu porzniętego przez dzieci, pary półek u ścian i popękanego pieca, innego sprzętu nie było.

Klepisko chyba dzieci przez miłosierdzie zmiotły.

Bakałarz, posiwiały już w spełnianiu swych obowiązków, człowiek milczący, posępny, blady, surowy na oko, łagodny z natury, zwał się Jackiem Rybą. Miał on wprawdzie różgi za piecem w ceberku moknące, ale częściej je pokazywał dla postrada, niż używał.

Niepozorny, zbiedzony, całego życia niepowodzeniem złamany, dobił się już był do tego skraju, na którym stojąc patrzy się ze spokojem i rezygnacją na wyżyny oddalone, choć się ich doścignąć nie mogło.

Dusza to była wypogodzona, w której miłości ludzi i Boga nie zabiła zła dola i długich lat męczarnie. Jacek Ryba nie zgorzkniał, Bogu i przeznaczeniu wyrzutów za swe losy nie czyniąc.

Największą dla niego rozkoszą było młode umysły do życia budzić, wpajać im to, co sam zdobył, a gdy czasu stało i ksiąg poważnych mógł się chwycić, czytać je i dumać nad nimi. Rękopismu nowego dostawszy, o co naówczas bakałarzowi nie było łatwo, siadał go przepisywać, dnie i noce przy kaganku czasem spędzając nad Boëcyuszem lub jakim rzymskim poetą.

Przywozili naówczas do Polski te skarby mnodzy duchowni, którzy do Rzymu i Włoch w sprawach kościoła lub dla nauk

wysyłani byli.

Jacek Ryba pierwszym był Grzesia Strzemińczyka nauczycielem, i wychowawcą tym swoim czuł się dumny. Miał on go za dziecko cudowne, od Boga ubłogosławione, wielką przyszłość zapowiadające.

Bakałarz ledwie się był, umywszy i pacierz odmówiwszy, przygotował iść na jutrznię do kościoła, gdy z podziwieniem ujrzał wpadającego żywo do komory ulubieńca swego, z zarumienionymi policzkami, zdyszanego, przełkniętego. Nic nie mówiąc chłopak pochwycił go za rękę i całować ją zaczął wzruszony.

– Cożeś ty tak rannym ptakiem? – zapytał niespokojny Ryba.

Spojrzał bacznie; Grzesiowi w oczach wymowne łzy stały. Bakałarz wiedział co chłopiec cierpiał od ojca, ścisnęło mu się serce, pogłaskał go po głowie.

– No, mów! – rzekł głosem cichym.

– A! ojczulku! – odezwał się Strzemińczyk, nawykły go tak nazywać – nie wiem co mam począć! Dłużej już tak nie wybędę. Dziej się wola Boża. Ojciec... ojciec...

Bakałarz potrząsnął głową znacząco, jak gdyby powiedzieć chciał:

– Wiem ci ja! ale rodziców szanować potrzeba.

Chłopak westchnął.

– Dlatego, że ojca szanuję i gniewać go nie chcę, muszę precz ztąd, muszę.

Zachnął się Ryba w tył cofając.

– Co tobie? na Boga miłego! Dokąd?

– Dokąd? albo ja wiem! – szepnął Grześ.– W świat! Do Krakowa... Ojciec z nas obu chce koniecznie żołnierzy zrobić, a mnie sam Pan Bóg do czego innego przeznaczył. Samiście mówili mi nieraz, że głosu Bożego słuchać potrzeba, a ja czuję go w sobie!

Bez nauki żyć, wołałbym umierać, dla niej w świat iść muszę.

Łzy prędko otarłszy chłopiec, czarnemi oczyma bystro spojrzał na bakalarza, który stał smutny i zamyślony.

– Słyszałem od was, że w Krakowie dla ubogich jak ja pacholąt, ludzie są litościwi, którzy ich karmią, aby na chwałę Bożą uczyć się mogli.

– Dziecko! dziecko! – podchwycił bakalarz. – Bóg ci litościwy jest nad opuszczonemi, i ludzie są dobrzy na świecie, ale pójść w świat z sakwą na plecach, z drewnianą miską u pasa, prosić jałmużny chleba i jałmużny światła, nie wiesz co przecierpieć trzeba.

Chłopak strząsnął się dumnie.

– Alboż to ja cierpieć nie potrafię? – zawołał – albo mi to w domu był raj? Ja już od dziecka do głodu nawykłem i chłodu.

Tu pocałowałszy znowu w rękę bakalarza, jakby go tą pokorą chciał zmiękczyć i przekupić dla siebie, dodał.

– Nauczyliście mnie trochę śpiewać, po ulicach pieśni nabożne z drugimi nucić mogę. Za to ludzie dobrzy dają kołaczki i grosze... Umiem też, z łaski waszej, pisać niczego...

Ryba się uśmiechnął klepiąc go po ramieniu.

– A! ty! ty! – rzekł weselej – niczego! Ty malujesz nie pieszysz i kaligraf z ciebie, choć smarkaty, że się i ze staremi nie powstydzisz iść na wyścigi. O tem niema co mówić, to prawda, to prawda.

Grześ przerwał żywo.

– No, więc czego się mam obawiać? Bylebym się dowlókł do Krakowa, albo to bieda wielka. Na każdej plebanii nocleg mi dadzą, w każdym klasztorze pokarmią. Chleba dużo nie potrzebuję, łyżką strawy będą syty.

Gdy to mówił, oczy mu się świeciły.

– A ojciec – cicho zagadnął Ryba. – Co powie ojciec, gdy cię nie stanie?

Grześ oczy spuścił.

– Ojcu się Zbitut zostanie – odparł cicho. – On go lepiej niż mnie kocha. Ja mu tylko zgryzotą jestem i ciężarem. Zbędzie się, zapomni, lżej mu będzie.

Słuchać go nie mogę, więc obrazy Bożej uniknę, a po mnie – dokończył smutno – płakać nie będzie.

Bakałarz zadumany, nic nie mówiąc, głową potrząsał. Stał w niepewności jakiejś, nie chcąc ni radzić ni odradzać. Dziecka mu ulubionego żal było, które się tu mogło zmarnować. Miał to przekonanie, że w Krakowie z niego coś nadzwyczajnego zrobią. Z drugiej strony, postradać tego ucznia, tego ulubieńca, którego sam własnem tchnieniem wywiódł tak cudownie ze swawolnego pacholęcia, żal mu było.

Grześ pisał tak ślicznie, a wszystkie charaktery naśladował tak

kunsztownie! W kościele gdy śpiewał, głos miał tak piękny, że do łez poruszał, do modlitwy duszę podnosił!

To dziecię biedne, puścić w świat na stracone imię, na losy, które Ryba znał najlepiej, bo ich sam doznał w wędrówkach po świecie, strach było!! żal srogi!

Ukradkiem stary bakałarz otarł rękawem oczy, ale myśl mu przyszła, że Bóg ojciec sierotom...

Na twarzy chłopca malowało się po tęsknocie takie męztwo, takie pragnienie tego co mu przyszłość gotowała, takie jakieś powodzenia przeczucie, że wstrzymywać go, któż wie, czy się godziło?

– Ojczulku! – dodał Strzemińczyk śmiało. – Myślałem całą noc, modliłem się panu Bogu, prosiłem go o natchnienie. Już to postanowione... Nie przeciwie się. Idę w świat!... Za ojca wy mi dajcie błogosławieństwo.

I przykląkł przed nim, za rękę drżącą chwytając starego, który głowę jego ujawszy, modlitwę cichą szeptać zaczął. Popłakali się oba. Mówić już nie było co więcej.

Dzwoniono na jutrznię, poszli razem do kościoła, ale ostrożny bakałarz, obawiając się, aby stary Cedro nie przyszedł tu szukać syna, ukrył go na chórze i drzwi zaryglował.

Grześ upadł na kolana, złożył ręce i modlił się gorąco.

Mało na jutrzni pobożnych było, oprócz kilku starych kumoszek z różańcami w ręku; mieszczanie na wiosnę mieli dosyć do czynienia w polach i ogrodach. Msza już była przy ofiarowaniu, gdy męzkie buty i chód posuwisty usłyszał

bakałarz, głowę wychylił i zobaczył Strzemieńczyka starego, który idąc na wszystkie się strony oglądał, niewątpliwie szukał syna.

Grześ się przychylił i za słup schował.

Cedro ukląkł w ławie mszy świętej słuchać, bo bezbożnym nie był, ale domyślił się łatwo bakałarz, że on tu nie dla nabożeństwa, ale dziecka zbiegłego przyszedł szukać.

Zaledwie ksiądz przeżegnał, gdy Ryba chłopcu dając znak aby pozostał na chórze, sam zszedł z niego, nastroczając się Strzemieńczykowi, bo wiedział, że go pytać będzie. Sam nie zaczepiając starego, zwolna, święconej wody wzięwszy u drzwi, wyszedł Ryba na cmentarz.

Cedro za nim pospieszył, brwi miał ściągnięte i twarz posępną.

– Nie wiecie o Grzesiu moim? – zapytał rzeźko.

– Albo co? – odparł Ryba.

Staremu gniew tymczasem ze krwią do głowy bił...

– Zbiega mi, bestya krnąbrna, dla tej waszej nauki, która mu się na nic nie zdała. Siekę go, morduję i nic nie pomaga...

Bakałarz poruszył ramionami.

– A ja co na to mogę? – odparł.

– Wy – krzyknął w pasy Strzemieńczyk, rękę podnosząc do góry – wyście mu pierwsi głowę nabili tem przeklętym obciadłem, a jemu ono do czego? Klechy z niego mieć nie chcę, dosyć jest tych darmozjadów! He!

Ryba słuchał obojętnie.

– Pocoście go uczyli? – powtórzył Cedro.

– Bo tak pan Bóg przykazał – odparł bakałarz – a bożego przykazania słuchać muszę nie waszych grózb. Dziecko do nauki miało ochotę i zdolność, com go nie miał uczyć??

– Ja lepiej wiem co mojemu dziecku potrzeba – wyrwał się coraz popędliwiej Strzemieńczyk – jam nad niem panem, nie wy...

Nie chcąc dalej rozprawiać z nim, bakałarz ruszył zwróciwszy się ku szkole i zostawił samego, zagniewanego starca, który pluł i kłął, a w końcu nie mając z kim się kłócić, musiał nazad do domu iść. Po drodze jednak skręcił do szkoły, i nie wchodząc do niej, u okna tylko stanąwszy, zakrzyczał na głos.

– Jak mi go tu przyjmować i chować będziecie, szkołę podpale... tak mi Boże dopomóż!! Rąk moich nie ujdziecie.

Ryba zbliżył się okna...

– Idźcie z Bogiem... a nie krzyczcie! dziecko zamęczone w świat poszło... mieć będziecie je na sumieniu... Nie ojcem mu byliście, ale oprawcą...

To wyrzekłszy zniecierpliwiony Ryba od okna odstąpił i poszedł się zamknąć do komory.

Cedro stał chwilę zadumany, ramionami zżymając, oglądał się czy z kim waśni przedłużyć nie znajdzie, naostatek mrucząc się powlókł do domu.

Nie chciało mu się dawać temu wiary, ażeby syn mógł w świat ujść od niego.

Gdy Strzemieńczyk zdala już był od fary, po drodze

znajomych zatrzymując i rozwodząc przed nimi żale swe do bakałarza i klechów; Ryba przez zakrystyę do kościoła powrócił, wszedł na chór, i wyzwolił ztamtąd Grzesia.

– Nie chcesz do ojca powracać? – zapytał go.

Chłopak wstrząsł się cały.

– Nie mogę – rzekł – wolę głodem mrzeć!! W świat pójdę...

Zadumał się Ryba długo... Zdawało się, że i on to postanowienie pochwalał, a myślał tylko o środkach, jakby tego dokonać.

– Gotów stary jeszcze cię tu szukać – odezwał się po chwili – musisz się więc ukryć, dopóki ja nie opatrzę cię na drogę... Choć za mną...

Ryba mówiąc to, wziął Grzesia za rękę, obejrzał się po cmentarzu i prześliznął z nim szybko do szkoły, ale nie wprowadził go do swej izby.

W lewo był skład zamknięty rzeczy kościelnych, które się przy farze pomieścić nie mogły. Stały tu rusztowania od przybierającego na wielki tydzień grobu, wisiały opony odpustowe, połamane chorągwie, wschody od wielkiego katafalku rzadko kiedy używane, ogromne lichtarze drewniane i całe kupy lampek glinianych, któremi czasem farę oświecano.

Każdy choćby najmężniejszy dzieciak, wieku tego co Grześ, byłby się uląkł tej ciemnej izby, smutnej i pełnej grozy grobowej. Ryba spojrzał nań pytająco, czy do wieczora się tu skryć zechce... Grześ odpowiedział wesoło głową potakując i przeżegnawszy się wsunął śmiało, gdy mu drzwi otworzono.

Przez jedno zakratowane gęsto okienko trochę światła wpadało do ciemnej izby, w której kątach złowrogo, na czarnych deskach wytrzeszczające zęby, głowy trupie widać było... Grześ siadł u okna, aby w dziedziniec kościelny mógł patrzeć i dostrzedz, gdyby ojciec lub brat go tu szukał.

Miał najmocniejsze postanowienie niepowracać już do domu, choć za nim tęskno mu było.

Milczące przyzwolenie bakałarza dodawało odwagi. Siedział cierpliwie, czekając co z nim Ryba postanowi. O południu otwarły się drzwi ostrożnie, stary przyniósł chleba kawałek i w garnku polewkę od ust sobie odebraną, aby go pokarmić, kazał Grzesiowi jeść, sam przysiadłszy na wschodzie od katafalku.

– Iść! iść! – począł mrużyć niespokojny – dobrze to mówić, a wiesz drogę? do Krakowa kawał... gościniec ci jest, ale dróg siła, a jak się obłąkasz?

– Ludzie mówią, droga wszelka na końcu języka – odparł Grześ...

Popatrzał bakałarz...

– A nuż stary w pogoń pojedzie lub pośle? – zapytał.

– Sam pojechać nie może – odezwał się chłopak – posłać nie ma kogo. Pomyśli, że już dziś zbiegł, i dognać mnie nie będzie mógł, a w ostatku... pewnie się niebardzo o mnie zatroszczy...

Ryba podparty na rękę dumął...

– Żywcak jutro do dnia do Dukli i Starego Sącza jedzie

za kupią, a bodaj i na Węgry. Moznaby uprosić, aby cię na wóz wsadził i dowiózł choćby tam dokąd, sam jedzie... Z Sądacza do Krakowa...

– Dam sobie rady – przerwał Grześ śmiało – nie obawiajcie się o mnie.

– Ale czy Żywczak zechce i ojca się waszego nie złąknie? – dodał Ryba...

Żywczak różną kupię z Węgier był zwykły przywozić, człowiek śmiały, czeladź miał zbrojną, bo w owe czasy bezbronnemu na gościńcach, zwłaszcza w obcym kraju, nie można było się pokazywać. Znał go Ryba, i postanowił rozmówić się z nim zaraz, więc Grzesia znowu w izbie zamknąwszy, poszedł na miasto.

Zamożny woźnica miał własny swój dom w Sanoku, a choć ciągle się po gościńcach tłukąc, mało w nim przebywał, liczył się do znaczniejszych mieszczan. Bakałarz dlań chudzina niewiele znaczył, ale zawsze suknię na nim kleczą szanowano.

Gdy Ryba Chrystusa chwalać do izby wszedł, zastał Żywczaka z dwoma współmieszczanami żegnającego się przy miodzie.

Woźnica i kupiec zobaczywszy go, pewien był zrazu, że bakałarz, jak to się kilkakroć do roku trafiało, przyszedł, aby sobie gomółkę jaką lub osełkę wyprosić, płacąc za nią życzeniem szczęśliwej podróży i obietnicą modlitwy.

Wesoło go jednak powitał i kubek przed nim postawił. Ryba miód przyjąwszy, nie rad temu, że świadków niepotrzebnych tu zastał, siedział długo milczący... Mieszczanie jednak nie bawiąc

się porozchodzili.

– Ja mam prośbę do was, panie gospodarzu – odezwał się bakałarz – korzystając z tego, że zostali sami, ale, osobliwego ona rodzaju jest, i sam nie wiem jak począć.

Staął Żywczak przed nim.

– Mówcież no – rzekł krótko...

– Rozumiecie to, boście bywali i mądrzy, panie gospodarzu – począł bakałarz przypochlebiając się Żywczakowi – iż kogo Bóg do siebie powoła, ten głosu Jego słuchać musi.

Żywczak głową dał znak, iż i on tak sądził, choć zgoła nie rozumiał, co to znaczyć miało.

– Mamy chłopca w szkole, którego Pan Bóg widomie do służby swojej przeznaczył – ciągnął dalej Ryba – a tu ojczysko uparte uczyć mu się nie daje... Niema innego sposobu, tylko chłopcu, który uczyć się chce, drogę wymościć i do szkoły go lepszej niż nasza posłać. Do Krakowa mu trzeba, do Panny Maryi...

– A cóż ja na to wam poradzić mogę? – spytał zdziwiony Żywczak...

– Jedziecie pono do Dukli, a może i do Starego Sącza – rzekł Ryba.

– Pewnie! – potwierdził Żywczak.

– Tożbyście dla miłości Bożej podwieść mogli biedactwo – dokończył bakałarz, rękę zniżając do kolan Żywczaka.

Mieszczanin stał jakoś obojętny, głową potrząsał.

– Cóż to za jeden ten wasz chłopak? – zapytał. – Od ojca go

odkradać... dziecko własne!! A gdyby mi tak kto mojego chciał wziąć!!

– Wybyście pewnie woli Bożej się nie sprzeciwili? boście człkiem pobożnym i rozumnym, a wiecie iż się nie godzi.

Żywczak wciąż głową kręcił, niezupełnie przekonany.

– Czyżże to chłopiec? – zapytał.

Bakałarz jeszcze się wahał z odpowiedzią i dodał.

– Katuje go ojciec za to, że się uczyć chce, a chłopiec już dziś śpiewa w chórze i pisze tak jak z nas żaden!

– Może go jednego ma? – wtrącił Żywczak.

– Dwu ich u niego – rzekł żywo Ryba.

Patrzali sobie w oczy, mieszczanin nie okazywał ochoty mieszać się w tę sprawę drażliwą.

– Powiedzcież mi czyj chłopiec jest? – zapytał powtórnie Żywczak...

– Nie zdradzicie mnie przecie? – przebąknął bakałarz.

– Albow ja taki co za język ciągnie, aby człeka sprzedał? – ofuknął obrażony mieszczanin – po mnie się to nie okazało.

Wstał z ławy bakałarz i w ramię go pocałował.

– Miejcie litość – rzekł... Potem obejrzał się do koła i szepnął mu do ucha – Strzemieńczyka starszy...

Żywczakowi się oczy zaśmiały... wróżba była dobra... Znał on starego Cedrę i nie jeden się raz z nim waśnił, a nie mógł znieść dumy jego szlacheckiej, która przed mieszczańskim dostatkiem głowy ugiąć nie chciała.

– Strzemieńczyka chłopiec – zawołał. – Nie dziwota, że od

niego ucieka, bo z tym katem nikt nie wytrwa. Zbój jest, tylko szczęście, że siły już niema, boby z nim codzień przyszło się borykać...

Wóz jeden kryty skórą idzie – dodał – chłopca do środka wsadzić każę i do Dukli a bodaj i do Starego Sądca powiozę, ale co potem, bo ja na Węgry zawrócę?

Bakałarz ręce aż złożył z wdzięczności i zawołał.

– Z Sądca pójdzie pieszo! radę sobie da... W klasztorze go pokarmią, bo tam panny od furty nikogo głodnym nie odprawiają...

Śmiał się Żywczak.

– Dobrze tak staremu panoszy! – dodał. – Jeść nie ma co, a swój szczyt tak nosi jakby złotym był i ludzi drugich niema za Boże stworzenia. Przekonają się wszyscy co zacz jest, kiedy od niego własne dziecko ucieka...

– A! – westchnął Ryba – chłopiecby srogość ojcowską zniósł, bo cierpliwy jest i poczciwy, ale uczyć się chce, a rodzic mu broni.

– Tak, aby z niego takiego niezdarę uczynił jak sam jest – krzyknął Żywczak. – Nie ujmuję ja czci szlachcie i panoszm, toć oni się biją i bronią nas a na świecie potrzebni są, ale i drudzy też ludzie, choć ziemię orzą i kupią wożą...

– Lub Boga chwałą – przerwał bakałarz.

Żywczak skłonił głowę.

– Chłopca więc weźmiecie? – spytał Ryba uradowany.

– Co nie mam go wziąć! – rzekł Żywczak. – Powiadacie, że

to ma być Bogu na chwałę... a no i od kata wyzwolić też zasługa. Ino mi go jak dzień przyślijcie, bo ja na niego ani na nikogo czekać nie myślę. Komu w drogę temu czas. Dnie poczynają gorące być, chłodem trzeba do popasu.

– Sam go wam przyprowadzę – dziękując dodał odchodzący bakałarz.

Spieszył potem do szkoły, aby i dobrą wieść przynieść zamkniętemu i wyzwolić go z izby... Nie było się już co obawiać napaści starego Cedry, więc Grześ do komory przeszedł...

Gdy się to działo w szkole, Strzemińczyk ciągle na syna powrót oczekiwał. W głowie mu się to nie mogło pomieścić, aby dziecko śmiało od niego uciekać. To ukrywanie się po wczorajszem obiciu, wydawało się najsroźszej kary godnem. Bić go znowu wstręt miał i własnej popędlivosti się obawiał, bo milcząca cierpliwość dziecka, wściekłość w nim rodziła... Postanowił więc, jak skoro się zjawi, w ciemnym loszku zasadzić go na chleb i wodę...

Czekał tylko rychło Zbilut, który też na niego czatował, da znać, że Grześ powrócił. Lecz oba czekali i wyglądali na próżno i gniew ojca coraz się wzmacniał.

Po południu już zamiast zamknięcia do lochu, zaprzysięgał się obić go wprzód i trzymać dopóty, póki by nie obiecał poprawy.

Nad wieczór niepokój się wzmógł, Grzesia nie było... Zbilut nawet do ojca nie śmiał się zbliżyć.

Nadzieja powrotu dziecka słabła coraz, stary Cedro to gniewem się unosił, to czynił sobie wyrzuty. Łzy mimowolnie

zbierały mu się pod powiekami. Zbilut parę razy próbował zdaleka coś szepnąć do niego, i nie otrzymał odpowiedzi. Z twarzą zwróconą w stronę fary stał długo Cedro mruczając coś niewyraźnego, noc nadeszła. Grzesia nie było.

Idąc do snu i całując ojca w rękę, Zbilut coś chciał powiedzieć o bracie, Cedro nogą uderzył w podłogę.

– Słyszysz! żebyś mi więcej imienia jego nie ważył się wspomnieć!...

Zyskał na tym młodszy, że ojciec mając go jednego, z oka już na chwilę nie spuszczał.

II

We dworku Strzemieńczyków, z pozostałych mieszkańców mało kto zasnął tej nocy. Najmniejszy szelest rozbudzał, bo się ciągle jeszcze krnąbrnego dziecka spodziewano. Ojciec wstawał kilka razy, szedł do okna i w mrokach dziedzińca upatrywał Grzesia, który już nie miał się tu pokazać. W starej szkole pod farą nikt też oka nie zmrużył.

Grześ miał odwagę dziecka, które się niczego nie lęka, bo nie zna niebezpieczeństwa. Nic go to nie obchodziło, że wybierając się na długą wędrówkę, miał na nogach stare, podarte chodaczki tylko, sznurkami na onuczkach poprzywiązywane, na grzbiecie koszulinę jedną zgrzebną, kubraczek szary połatany, a dla pokrycia głowy czapczynę lichą, pomietą i poszarpaną. Bakalarz doświadczeńszy już, myślał, czy się go puścić tak godzi? Wprawdzie wiosna już była i dnie gorące, ale biedactwo odarte, wyglądało prędzej na żebraka, niż na dziecko szlacheckie, gdyby twarzyczka rozumna i piękna, nie płaciła za wszystko. Odzieży sam Ryba miał tak mało, że nie było się czem podzielić, a z niego na Grzesia nicby też nie przyszło. Krajać i obszywać nie było czasu. O lepszym więc na podróż przybraniu nie było co i myśleć, a chłopak odzież sobie lekceważył, byle grzbiet miał przykryty. Wiedział, że żebrać będzie musiał i strój mu się zdawał właściwy, bo mógł mówić za niego.

Żywczak miał go na wozie ukrytego podwieść do Dukli, ale

o przekarmieniu mowy nie było, należało więc jaki taki posiłek zapewnić na dni pierwsze.

Trochę soli związanej w szmatkę, kromka czerstwego chleba odkrojona z bułki bakałarza, którą on sobie odjął od gęby, gomółka zawiędlęgo séra, w które go opatrzone, zdawały się Grzesiowi aż nadto wystarczające i za te dziękował uradowany niespodziewanym zapasem.

Ryba miał jeszcze z dawnych czasów zachowaną jako pamiątkę, miseczkę drewnianą, którą sam niegdyś u pasa nosił, chodząc w Krakowie do szkoły. Spoczywała ona na półce nietknięta i pyłem przysuta. Zdjął ją, smutnie się przyglądając, oczyścił i milcząc podał Grzesiowi, któremu przyszłego jej użytku tłumaczyć nie było potrzeba... Była to może największa ofiara ze strony bakałarza, któremu z dni młodości nic nad nią nie pozostało.

Z miską taką stawał chłopak pode drzwiami mieszczan, a litościwe gospodynie nakładały w nią kaszy lub klusek.

Ryba i Kantor gaduła, oczekując dnia, starali się przestrogi i naukami różnemi przygotować Grzesia do tego, co go w przyszłości czekało. Oba oni przeszli przez też same koleje i z własnego doświadczenia czerpali.

Opowiadali szeroko o swoich szkolnych latach, o życiu studentów ubogich i zwyczajach, do których się potrzeba było zastosować, o żebraniu, śpiewaniu pieśni pod oknami i wydrwiwaniu grosza od przelekłych żydów.

Bakałarz na tem największe pokładał nadzieje, iż Grzesiowi

długo żebrać nie będzie potrzeba, bo nad wiek swój do pióra był wprawny, pisał bardzo pięknie, charaktery wszelkie naśladował misternie, a przepisywaniem naówczas, grosza było można sporo zarobić. Za proste Ojciec nasz płacono grosz, a za Donata dziesięć groszy. Grześ zaś nie tylko kopiował pięknie, bez omyłek, z łatwością, ale pisał prędko i paliło mu się w rękę, co wziął do roboty. Oprócz tego piękny głos jego i śpiew, którym się zachwycano, mógł być także pomocą, bo pieśni pobożne i inne nucił na pamięć, na cytrze brząkał, a miał taką ochotę do gędźby, że nawet, gdy go nikt nie słuchał, sam dla siebie wyśpiewywał.

Wszystko to mu przyszło bez pracy prawie, ledwie cokolwiek pokazano, sam już potem z łatwością uczył się dalej, a starzy z podziwienia wyjść nie mogli. Wbijało go też to może w pychę, ale dawało wiarę w siebie i to męztwo z jakim się ważył w świat, pewien że wypłynie.

Bakałarz bojaźliwszy, trochę mu rogów przycierał, podszeptując.

– A no! a no! co w Sanoku, to nie w Krakowie... Tam i kaligrafów siła jest i na śpiewakach nie zbywa... Posłyszysz, zobaczysz... będziesz się jeszcze miał uczyć czego...

Ale chłopak się tem nie zrażał... Ufał w to, że przy pomocy Bożej, da sobie radę.

Rozmawiając tak przy gasnącym kaganku, który syczał i przyskał w glinianej miseczce, Ryba coraz wyglądał przez okno, czy się brzask nie robi, aby z chłopcem nie opóźnić się do Żywczaka. Zaledwie na wschodzie szarzeć poczynąło, gdy raz

jeszcze podszedłszy z nim pode drzwi kościelne i pokłękawszy na modlitwę, Ryba pustemi uliczkami poprowadził go do dworku mieszczanina. Rano było tak jeszcze, że nawet gospodynie do kądzieli nie powstawały, spało wszystko, ale u Żywczaka zastali już wozy z szop powyciągane, a przez okna widać było światło w domu.

Parobcy przy łuczywach smarowali i uprzęż przygotowywali...

Bakałarz z chłopcem, niechąc uprzykrzonym być, stanęli pokornie w ganku i czekali. W tem sam Żywczak wyszedł za czymś z izby, już odziany i podpasany, jak do podróży, a zobaczywszy klechę i chłopca, któremu o mroku porannym nie mógł się dobrze przypatrzyć, do izby ich wprowadził. Tu na kominie się paliło, a jejmość w jubce i chustce na głowie, polewkę grzała dla męża.

Spojrzał bystro mieszczanin na szlacheckie dziecko, nędznie odziano, ale tak pięknością rysów i szlachetną a śmiałą postawą uderzające, że co miał szydzić z niego, sposepniał.

Z twarzy bił rozum i męztwo, zadziwiające w wyrostku. Żywczak odezwał się do niego pytając, czy nie lęka się w świat tak puszczać sam jeden...

– Bóg jest wszędzie – odparł Grześ śmiało. – Gdybym złego co myślał, bałbym się kary, ale na chwałę bożą chcąc pracować, nie boję się niczego; a co mnie spotka, przyjmę z pokorą.

Wymowna odpowiedź zamknęła usta mieszczaninowi, który popatrzył na dzieciaka, ramionami poruszył, głową pokręcił,

a babie swej szepnął, aby mu kubek piwa grzanego dała.

Dostał i bakałarz swoją porcję i byłby mógł podziękowawszy odejść, ale chciał dotrwać do końca, zobaczyć, jak się Grześ do wozu dostanie, i pożegnać go raz jeszcze...

Dniało coraz jaśniej, wozy co żywiej zaprzęgano, w domu ruch się robił większy, nadchodziła chwila odjazdu. Na pokrytym skórami pałubie z przodu siadłszy Żywczak uzbrojony, z tyłu za sobą ukazał miejsce Grzesiowi, który tak był zasłoniony, że gdyby nawet starego Strzemieńczyka spotkali, domyślećby go się tam nie mógł.

Grześ zapłakał, żegnając bakałarza, wsunął się w kąt, i wozy z przed dworku ruszyły...

Co się tam w tej młodej głowie i sercu działo, gdy chłopak znalazł się sam na gościńcu, z ludźmi obcemi, na łasce ich, odurzony tem co go od dwóch dni spotykało, Bóg jeden wie... Myśli mu się plątały, radby był wyskoczyć, wrócić, ojcu padł do nóg, to znowu nadzieja dziwna pchała w świat otwierający przed nim złote wrota... Dziej się wola boża! Noc spędzona bezsennie, znużenie, kołysanie się wozu, do którego nie był przywykły, wrędcę twardy sen sprowadziły. Zasnął jak młodość tylko spać umie, i nie wiedział ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, gdy około południa zbudził go Żywczak, pamiętający o nim, wołając do swej miski...

Nie rozpoczął z nim rozmowy, bo do czynienia miał dużo, a sam doglądał wszystkiego, ba i ręki przykładał, ale głodem mu mrzeć nie dawał, tak że Grześ chleb swój i sér na dalszą podróż

ze Starego Sącza mógł oszczędzić. O niej też przemyślał ciągle, usiłując przewidzieć wszystko, co go spotkać mogło i przygotować się na to jak miał radzić w potrzebie...

W Dukli mało co się Żywczak zatrzymał, tak że chłopak ciekawy ledwie miał czas, z pod skór się wydobywszy, rzucić okiem na górę Cergowę i po pięknej okolicy. W miasteczku u rynku, gdzie stanęli, ruch był wielki, bo gościniec tędy wiódł na Węgry, z którymi handel naówczas szedł żywo.

Grześ po raz pierwszy zobaczył tu nowych ludzi, których języka nie mógł zrozumieć, stroje i zbroje nieznane, a krzątania ich wydała mu się po spokojnym Sanoku, dziwną i niemal straszną. Cóż to dalej być miało na świecie?

Żywczak, jak wszyscy woźnice z kupią jeżdżący, rozpytywać się musiał o gościńce, o bezpieczeństwo, o mosty na rzekach i brody, które czasem w górskim kraju bywały nie do przebycia, a chłopak odpowiedziom się przysłuchiwał ciekawie.

Nie uszło też ucha jego, gdy kupcy z Węgier powracający rozpowiadali, jak król Władysław Jagiełło, właśnie tych dni z Węgier miał do Krakowa jechać, bodaj na Sądecz Nowy, gdzie świeżo osadzonych Norbertanów klasztor chciał widzieć.

Głoszono też, że od Zygmunta Luksemburczyka, z którym się poprzyjaźnił, wiozł w podarku drogie dla Polski skarby, starą koronę Bolesławowską, szczyrbiec, berło i jabłko, które był po koronacji swej zabrał król Lois do Budy. A była z tego radość wielka, gdyż do tych klejnotów, jak do relikwii świętych, wielką wagę przywiązywano.

Żywczaka mało może obchodziły skarby te, które do Polski powracały, a więcej, że przejazd króla, gościńce czynił bezpieczniejszemi i łatwiejszemi do przebycia.

Grześ zaś, dowiedziawszy się o królu, jak był umysłu zuchwałego, powiedział sobie, iż gdyby na pański dwór i obóz trafił, będzie za nim ciągnął także... Nie rozważył tego, iż pieszuemu za konnemi nadążyć nie było łatwo.

W Starym Sądczu z Żywczakiem się trzeba było rozstać. Grześ się już do tego gotował i gdy zamczysko na górze w widłach Popradu i Dunajca się ukazało, jedną już nogą tylko był na wozie... Dotąd miał opiekuna i żywiciela, teraz poczyniała się dopiero wędrówka o łasce bożej i własnym rozumie... Serce mu jednak rośło...

Gdy wóz stanął przed gospodą, opodał od klasztoru panien, do którego chłopak się chciał wprosić zrazu dla spoczynku, skoczył żywo Grześ i pospieszył, odkrywszy głowę, opiekunowi swemu dziękować, jak zwykle ubodzy, Bogu polecając zapłatę za siebie.

Żywczak, który mu się zdala z wielką przypatrywał ciekawością, w ciągu podróży podobał go sobie, poklepał po ramieniu kłaniającego się pokornie.

– Kiedy taka wola Boża i przeznaczenie twoje – rzekł – idźże zdrów... a masz choć parę groszy w saku na złą godzinę?

– Ani denara! – rozśmiał się Grześ – mnie pieniądze niepotrzebne. Kawałka chleba ludzie nie odmówią, a dobiwszy się do Krakowa, jużem tam bezpieczny...

Żywczak głową potrząsł, dobył z sakwy dwa groszaki białe

i wcisnął mu je w rękę.

– Niech Bóg prowadzi.

Tak się z sobą rozstali. Grześ kij sobie nad drogą wyłamawszy i przystrugawszy go, rozmyślił się, że do wieczoru czasu jeszcze dosyć było i wskazaną drogą, zamiast do klasztoru na odpoczynek, ruszył zaraz pieszo do Nowego Sącza.

Stał mu ciągle ów przejazd króla, na który po dziecinnemu rachował wiele. Myślał, że przy królu zawsze księży i pisarzów kilku bywało, do których się chciał dostać. Ale nadzieja ta omylić go miała.

W Starym Sączu wiadano tylko, że się króla spodziewano, ale kiedy miał przybyć, pewności żadnej nie było i czy stanowniczowie już na zamek podążyli, bo ci zawsze pana poprzedzali.

W podróży na wozie Żywczaka wygodnie było chłopcu, na niczem mu nie zbywało, karmił gospodarz, a o drogę nie potrzebował pytać, teraz jednak, gdy się sam znalazł na gościńcu swobodnym, weselej mu się zrobiło i raźniej. Mógł czynić co chciał, odpoczywać, pospieszyć, rozmyślać i rozpatrywać się po okolicy.

Zaśpiewał po raz pierwszy od wyjazdu z Sanoka, bo przy Żywczaku głosu nie śmiał dobyć.

Piękne wzgórza otaczające, zielenią wiosenną okryte lasy i pola, śpiewające ptactwo, przechodzący ludzie, którzy przypatrywali mu się ciekawie i zagadywali go, wszystko zajmowało gorąco. Stawał sam do siebie uśmiechając się

i czując wolnym... Słuchał, rozpatrywał się, a świat na podziw wydawał mu się pięknym. Dotąd wszystko mu się wiodło nadzwyczaj pomyślnie, ucieczka z domu, droga do Sądca, opieka Żywczaka, dwa groszaki jego, które mu się ogromnym skarbem wydawały, nadzieja spotkania z królewskim dworem, dodawały odwagi i ochoty...

Jeśli się wiodło dotąd, dlaczego nie miałoby się powodzić dalej?

Na domiar szczęśliwych trafów, spotkał zaraz na gościńcu włościanina z wozem próżnym, który wyrostka pieszego zobaczywszy, sam mu się podwieść ofiarował.

Był to kmieć, świątnik, ze wsi Norbertanom nadanej, który z kolei do posług przy klasztorze i kościele wyznaczony, na służbę jechał, a znał nietylko okolicę, ale w Wieliczce i Krakowie nieraz bywał, od niego więc języka dostać było można.

Gadatliwy wieśniak wybałał zaraz chłopca, który się taić z niczem nie potrzebował. Zapewnił go, że nocleg pewnie w klasztorze otrzyma, bo księża ubogich od furty nie odpędzali, i żywili każdego dla miłości Chrystusa, sami z łaski króla będąc dobrze wyposażeni.

Gwarząc tak ze świątnikiem dojechali do miasteczka, a i nowe budynki klasztorne nieopodal widać było. Około zamku na górze, jako też na gościńcu, zbliżając się dostrzegli ludu siłę, kupami stojącego, nie było więc wątpliwości, że obiecany król, albo już przybył, albo też był spodziewanym co chwila.

Sprawdziło się to, gdy do klasztoru podjechali, z którego

właśnie duchowieństwo wychodziło na spotkanie Jagiełły. Ale to co Grzesiowi pomyślnem się wydawało, na złe mu wyszło.

Księża Norbertanie i co żyło tu, tak było królem i przyjmowaniem go zajęte, tłum ciekawych ze wsi pobliskich tak wielki, iż na biedną chłopię nikt nie spojrział.

Zepchnięty z drogi, gdy z wozu zlaźł, Grześ musiał z wiejską gawiedzią w tłumie stać, i woźnicą swego, który mógł mu być pomocą, zgubił.

Wynagrodziło mu się to tem tylko, że widział przeciągający orszak królewski i samego pana na pięknym koniu, ale w szarym kubraku dziwnie wyglądającego wśród okazałego dworu i lśniących od zbroi rycerzy, tak że się wierzyć nie chciało, aby królem mógł być...

Tuż za nim ciągnęły poczty wielkie, jazda różna, wspaniale poprzyodziejwana, wozy wielkie ładowne, i chłopskie pełne zwierza po drodze nabitego, koni pod kapami moc a koło nich ciurów z obuchami i halebardami mnóstwo...

Gdy Jagiełło na zamek pociągnął, a lud się powoli rozptywać począł, pomyślał Grześ o sobie, ale za orszakiem się wlec nie było sposobu, bo cisnących się odpędzali pachołkowie, więc do niedokończonego opactwa, które jeszcze murowano, usiłował się dostać.

Tu by mu pewnie innego czasu nie odmówiono gościny, ale teraz tak pełno było tych co się na zamku nie mogli pomieścić, że Grześ do bramy się docisnąć nie umiał i musiał na miasteczko iść, do mieszczanina gdzieś wprosić do szopki na siano.

W natłoku tym o pomieszczenie łatwo nie było, i od chaty do chaty chodząc, trafił wreszcie na litościwą duszę. Starowina mieszczanin w pustym chlewku mu się przespać pozwolił. Trochę słomy znalazłszy w kącie, przeżegnał się Grześ, legł i zasnął tak, że go dopiero rzenie koni o białym dniu zbudziło.

Wyszedłszy z szopy zastał już wszystkich na nogach. Pobiegł co prędzej umyć się do studni, podziękował staremu za gościnę, i dowiedziawszy się od pierwszego spotkanego w ulicy człowieka, że król już w dalszą drogę do Krakowa na Wieliczkę pociągnął, nie tracąc czasu ruszył też w tę stronę.

Za miasteczkiem dopiero, kawał drogi uszedłszy, siadł, głód, który się dał czuć, zaspokoił chlebem i serem bakałarza. Pierwszego, który suchym był gdy mu go dano, byłby nie ukąsił wodą nie odwilżywszy, ale się ta szczęściem nad drogą znalazła i suchar z solą i serem dobrze smakował. Trzeba go było jednak oszczędzać, bo nie przewidywał gdzie i jak się pożywi, a groszy, które mu dał Żywczak, naruszać nie chciał. Tymczasem słońce przypiekać zaczęło i podjadłszy trochę, Grześ w dalszą puścił się drogę.

Tego dnia żaden wóz ani miłosierna ręka w pomoc mu nie przyszła. Musiał iść pieszo, popijając wodę z ruczajów i studni, zmęczony przypadając pod wierzbami i w zaroślach przy gościńcu, i tak pod wieczór przywłókł się do kościelnej wsi, wprost kierując się na plebanię.

Szkoły tu żadnej nie było, kościółek drewniany, niewielki, stary, probostwo pod słomą, a w miejscu plebana wikary

gospodarzył. Ten zrazu ostro i szorstko przyjął ubogiego chłopca, zowiąc go włóczęgą i szaloną pałką, a grożąc mu że się zmarnuje i t. p., ale powoli odpowiedzi Grzesia roztropnych i pokornych wysłuchawszy, trochę się ksiądz udobruchał, odesłano go do starej gospodyni na kuchnię, a ta, choć także na darmożjadów i żebractwo wyrzekała, dała trochę ostygłej kaszy ze skwarkami, chleba kromkę i na siano do szopy spać wyprawiła gościa.

Gdy z rana zadzwonił dziać kościelny na mszę świętą, Grześ poszedł się też pomodlić, a że trafił na śpiewanie różańca i on też głos podniósł. Pewnie z serca Bogu na chwałę nucił, ale i ze śpiewem rad się był popisać może, bo wiedział, że głos ma osobliwy, czysty, łagodny, przenikający. Wszyscy ku niemu głowy poodwracali.

Po nabożeństwie już się miał tylko z wikaryuszem pożegnać, gdy ten sam go zawołał, pochwalił śpiew piękny i zaciągnął z sobą na plebania. Tu na nowo badać go zaczął pilniej, a gdy chłopak pochwalił się, że i pisać umie niczego i wiele modlitw w Sanoku dla księży i ludzi pobożnych przepisywał, wikaryusz zażądał próby, zatrzymując go na ten dzień dla spoczynku u siebie. Nie opierał się Grześ, bo niewprawny jeszcze do chodu, czuł się dosyć zmęczonym i tak dnia tego, zamiast iść dalej, siadł dla wikarego na papierze wydartym z agendy kaligrafować pod dyktą *Skład apostolski...*

Nie spodziewał się widać księżyna takiego w młodym chłopięciu talentu, jaki Grześ okazał, i zdumiał się pisaniu

więcej jeszcze niż śpiewowi. Radby go może dłużej zatrzymać u siebie, przy kościele, ale chłopak miał mocne postanowienie dostać się do Krakowa, i księdzu podziękowawszy, nakarmiony, z podwojoną odwagą następnego ranku wyruszył w drogę. Wikary litościwie świeżym go chlebem i sera gomółką opatrzył, a drogę mu do Wieliczki powiedział tak dobrze, nauczycwszy gdzie się miał zatrzymywać na spoczynki i noclegi, że Grześ prawie już nikogo o to pytać nie potrzebował.

Wiodło się tak podążającemu co sił starczyło Grzesiowi, szczęściem różnem, a co pierwszego dnia znużenie czuł wielkie, później nabrawszy sił i szcędząc je, chłodne ranki wybierając do podróży, a odpoczywając w południe, nie czuł już prawie zmęczenia. Księża nie odmawiali nigdzie noclegu i jakiegokolwiek pokarmu, choć niektórzy ramionami ruszali i uśmiechali się z tej jego podróży do Krakowa, nie wierząc, aby wyrostek mógł wybrnąć o swej sile, wśród wielkiego miasta, w którem łatwiej było zepsuć się niż czegoś nauczyć. Radzili mu niektórzy rzemiosło, nie wiedząc że szlachcicem był, inni strofowali za nieposłuszeństwo przeciw rodzica woli.

Dowlókl się wreszcie tak, słoty i burzy, błota i kurzu zakosztowawszy, boso, bo chodaki nie wytrzymały podróży i resztki ich na miasto trzeba było zaoszczędzić, do Wieliczki.

Wiedział, że już ztąd do Krakowa było niedaleko. Murami obwiedziono miasto, około którego ruch był większy daleko niż w Dukli, bo nieustannie ztąd na wszystkie strony sól wywożono i fury przybywały dla zabierania jej, zamożność mieszkańców,

różność języków, bo Niemców i żydów wałęsało się dużo, w początku Grzesia onieśmieliły. Nie było do kogo się udać, mało kto chciał odpowiadać, każdy tu myślał o sobie, a miejscina wyglądała na jedną wielką targowicę. Do gospód, których tu siła było, nie śmiał zachodzić, boby go tam nie przyjęto, a wszystkie też napchane mu się wydały, pod kościół więc podążył, gdzie na młodego wikaryusza natrafił, który się nim ochoczo zaopiekował.

Miał Grześ taką twarz szczęśliwą, że na niej wypisane stały uczciwość i pojętność, a choć mu na męztwie nie zbywało, przez surowego ojca wychowany, umiał być pokornym i starszych szanował. Ujmowało każdego sieroctwo dobrowolne i ta miłość nauki, która go z pod strzechy domowej wyгнаła.

Wikaryusz rozpytawszy się chłopca, wziął go do izby z sobą. Sam ubogiego sołtysa syn, o własnej sile doszedłszy do święceń i kapłaństwa, znając Kraków i młodzież tę, która się do szkół jego cisnęła, lepszego losu spodziewając, nie zdziwił się Grzesiowi, ani mu męztwa nie odbierał. Począł tylko po trosze wybadywać co umiał i jak miał w głowie, a znalazłszy go usposobionym nad spodziewanie, rokował najlepiej.

– Biedy już ci przycierpieć przyjdzie – rzekł – ale komu Bóg dał cierpliwość a wytrwanie, wybrnie szczęśliwie...

Z Wieliczki do Krakowa codzień wozów tyle idzie z solą na skład, że drogi pytać nie potrzeba. Pójdziecie za pierwszym lepszym woźnicą, a traficie łatwo. Przybywszy trzeba do bakałarza i mistrza u Panny Maryi zgłosić się, nikogo tam nie

odpychają...

Pan Bóg miłosierny... Gdyby u Panny Maryi was nie przyjęto, jest ci oprócz tej szkół dosyć, u św. Anny, przy kościele Bożego Ciała, u św. Floryana, przy szpitalu św. Ducha...

Machnął ręką.

– Jest prawda i ubogich chłopiąt dosyć jak ty, ale jednym więcej, nie ogłodzisz Krakowian.

Wikaryusz tak był dla Grzesia dobrym, że mu u siebie w izbie dał przenocować i nakarmił go jak żaden jeszcze. W Wieliczce wszędzie dostatek widać było wielki, mieszczenie, robotnicy, gmin zażywno i wesoło wyglądali. Prawda, że i hałaśliwo też było po gospodach i browarach, a w ulicach do późnej nocy krzyki i śpiewanie się rozlegały. Ani się dziwić temu było potrzeba, bo się tu ludzi tyle ściągało, woźnic, gawiedzi, siłaczów do dźwigania ciężarów, handlarzy, przekupniów, iż spokojnie być nie mogło.

Nazajutrz rano, po mszy świętej, wikary mając miłosierdzie nad Grzesiem, naraił mu wóz, który kupca z Krakowa tu przywiózł i tak jak próżno powracał... Pozwolono mu się przysiąść ztyłu, tak, że tegoż dnia nareszcie już się do Krakowa dobić spodziewał.

Z bijącym sercem wyglądał tylko, rychło się gród ten okaże, o którego wielkości tyle się po drodze nasłuchał, iż równie żądał dostać się do niego, jak lękał w nim znaleźć.

Tu dopiero losy jego przyszłe rozstrzygnąć się miały...

Podróż na wozie nie tak jednak była pospieszną, jak się Grześ

spodziewał. Kupiecki woźnica żadnego szynku nie pomijał, stawał przed każdą gospodą, zasiadał się w niej i pił, gdy konie głodne, z głowami spuszczonej razem z chłopcem godzinami czekać musiały. Prawda, że napiły potem smagał je i ruszał z kopyta, ale byle wiecha się pokazała nad drogą i konie znarowione i on się zatrzymywał.

Grześ w końcu postrzegł się, że jużby rychlej pieszo podążył, a miarkował, że do stolicy nie musiało być daleko. Gdy więc woźnica w lasku raz jeszcze stanąwszy na piwo szedł, skarżąc się, iż upał był nieznośny, chłopak pożegnał go i na piechotę ruszył, bo dłużej wytrwać nie mógł.

Dzień był piękny i pogodny, a słońce już się miało ku zachodowi, gdy Grześ z wozu zląwszy, wielkim gościńcem puścił się ku miastu, którego bliskość czuć było...

Coraz gęstszy przechodnie, jezdni, wozy, żebractwo, wojskowi ludzie, pachołkowie, coraz też więcej budowli i szałasów nad drogą, sam gościniec kołami porznięty, rozjeżdżony szeroko, oznajmywały gród ludny...

Było na co patrzeć, czego słuchać, ale i strzedz się też czego, bo napiłych a zuchwałych wałęsało się mnóstwo i bójki też wśród drogi pomijać musiał.

Brzegiem więc, ścieżyną, powoli szedł Grześ dumając, gdzie dziś noc przepędzi... Okolica przedmiejska źle rokowała, kiedy w niej tak było gęsto i ludno, cóż dopiero w mieście samem?

Myśląc tak i niebardzo pospieszając, krok za krokiem szedł chłopak oglądając się czy do kogo nie będzie mógł przypytać,

gdy naprzeciw niego ukazało się dwóch wyrostków, prawie tegoż co on wieku. Jeden z nich na plecach niósł wielki pęk różnego zielska, którego użytku nie umiał sobie Grześ wytłumaczyć. Nie było to ani siano jakim bydło i konie karmią, ani też ziele jakie gospodynie dla chlewni pod płotami wyrzynają. Więcej kwiatów widać było niż liści.

Drugi przy nim idący, starszy trochę, także pęk ziela miał w rękę i nakopanych korzeni...

Strój obu tak był niemal ubogi jak Grzesia, kubraki wyszarzane, czapki wypłowiałe, tylko że oba na nogach mieli chodaki, a nie obcy tu musieli się czuć, bo wesoło i śmiejąc się gwarzyli, z przejeżdżających i przechodzących żarty sobie strojąc.

Byłby ich może Grześ pominął, gdyby w tej chwili nie zaciążyło im owe zielsko, i rzuciwszy je na ziemię, oba około niego pod krzakiem przypadli odpoczywać.

Chłopak zbliżający się powoli wpadł im w oko. Swoją swego najłatwiej wszędzie dopatrzy... Drewniana miseczka bakalarza wisząca u pasa Grzesiowi, była jakby znakiem jego powołania.

Mając siedzących minąć, Grześ ich pozdrowił.

Starszy, któremu z oczów patrzała swawola, wesołość i śmiałość, podniósł rękę i powołał go do siebie.

– Ani chybi – odezwał się – idziesz pewnie do szkoły.

– A dokądżeby jeśli nie do niej – odparł Grześ. – A juściz?

– Zkąd?

– E! zdaleka bardzo!

– A no, nie z Tatarszczyzny pewnie? – zaśmiał się starszy.

– Z Sanoka!

Chłopcy popatrzyli na się... Niewiele myśląc Grześ, pot z czoła otarłszy, przysiadł się do nich. Oba studenci oglądali go od stóp do głów, aż młodszy bąknął.

– Bosy!

– A tyś to w żółtych butach tu przyszedł? – przerwał starszy i zwrócił się do Grzesia.

– Umiesz-że choć obiecadło? – zapytał.

– Nie bójcie się, jużem i Donata kosztował i z partesów śpiewam i z piórem się obchodzę jak należy – rzekł Grześ z pewną dumą.

– Daj go katu! – rozśmiał się starszy – a czegoż się tu myślisz uczyć?

– Juści znajdzie się jeszcze wiele, nim bakałarzem albo i mistrzem zostanę – śmiało odparł Grześ.

– Ho! ho! wysoko patrzy bosonogi! – rzekł drugi.

Śmieli się wszyscy a Grześ z nimi...

– To mi sam Pan Bóg was w dobrą zesłał godzinę – odezwał się po małej chwili. – Nie odmówicie mi głuptaszkowi, co ani miasta, ani ludzi nie znam, pomocy i rady...

Starszy w oczy mu zaczął patrzeć.

– Pójdiesz z nami – rzekł – nie na wiele my ci się zdamy, ale dobra psu mucha.

– Przydacie mi się, byleście chcieli, na bardzo wiele – odparł Grześ – a Bóg wam zapłaci.

Wtem starszy z podełba zerknął.

– Nim Pan Bóg się rozrachuje z nami, gdybyś tak piwa albo podpiwku kazał dać, nie byłoby od rzeczy... Masz za co?

Zarumienił się Grześ mocno, bo kłamać nie chciał, a groszy jedynych jakie miał od Żywczaka, bardzo mu żal było.

– Całe moje mienie dwa grosze w kalecie – rzekł wzdychając – dla siebiebym ich nie ruszył pewnie, ale dla was...

Starszy się namarszczył.

– Za podpiwek, cienkusz nie zapłacisz wiele, a znajomość oblać potrzeba... Przyszedłszy do szkoły będziesz i tak musiał zmienić swój skarb i wykupić się do trzody... Zrobim tutaj początek...

Rad nie rad Grześ z węzełka u koszuli jednego groszaka dobył, a starszy z nim poszedł do blizkiego szynku po piwo, obiecując odnieść resztę pieniędzy.

Pozostawszy sam na sam z młodszym, zapytał Strzemińczyk na co ziele to zbierali i dokąd je nieśli.

– Nie taki to łopuch i zielsko paskudne jak się tobie zdaje – odpowiedział chłopak śmiejąc się. – Masz wiedzieć, że to wszystko do leków i dla zdrowia ludzkiego przydatne będzie, gdy ks. kanonik Wacław, dla którego my zbieramy kwiaty i korzonki, przyprawi je jak należy.

Pokazał nam on, jakie rośliny mu są potrzebne i dla niegośmy je wykopywali i zbierali. Są takie, których sam kwiat obrywać każe, innych korzonki kopać, innych samo liście osmykać.

Tu chłopak począł z kupy wyciągać co niósł i zdumionemu

Grzesiowi ukazywać.

Tymczasem starszy, któremu imię było Dryszek, powrócił z piwem i pieniędzmi, wiernie denarów resztę Grzesiowi oddając... Zasedli do podpiwka i rozmowa się dalej toczyła. Z początku niewiele sobie przybysza tego ważyli, już poduczeni studenci, zwłaszcza, że z takiego zapadłego kąta jak Sanok przybywał, ale gdy bliżej go poznali, starszy go oszacować potrafił. Zgadało się o pisaniu, więc Grześ, nie mając się z czem chwalić, przyznał się, że na niem wielką pokładał nadzieję.

Obaj studenci, którym pismo nie smakowało, bo nad niem dobrze przysiadować było potrzeba, mówili, że mu nie zazdrościli tej umiejętności.

– Z tem się nie wydawaj, że piszesz dobrze, jeżeli to prawda, że sanockie dobre pisanie, w Krakowie też niegorszem będzie – rzekł starszy. – Mistrze i bakalarze, gdy się tylko dowiedzą, że ci pióro rażno w rękę chodzi, pokoju nie dadzą, żebyś im Donatów i Aleksandrów, albo i Prisciana przepisywał... Zamęczą cię u pulpitu i uczyć się nie dadzą...

Grześ na to nie odpowiedział, nie siedzieli już długo, bo wieczór nadchodził, więc cienkusz dopiwszy, który ich pokrzepił, ziele zabrawszy, dalej do miasta ciągnęli. Nie sam więc i pod opieką rówieśników, miał się do niego Grześ dostać, co mu śmiałości dodało.

Gdy wreszcie ukazał się oczom ich Wawel piętrzący się na wysokiej górze, wieże kościołów, miasta mury i bramy a baszty potężne, a budowle w zielonych ogrodach rozsiadające

się szeroko, chłopak nie mógł się wstrzymać od wykrzyku, zdjął czapkę, przeżegnał się i począł modlić.

Strach go ogarnął...

Uśmiechali się z niego Dryszek i Samek w początku, lecz i im na myśl przyszło jak oni pierwszy raz tu się dostali i drżeli a płakali zwątpiwszy o sobie...

Gród wielki, który chłopak miał przed sobą, nie dawał się ani porównać do tego, co w życiu swem widział, do ubogiego Sanoka, większej już Dukli i Wieliczki, malejących wobec tego olbrzyma w zbroi kamiennej, wieżycami nasrożonej.

Zdała już dychało to miasto głośno i jakby zmordowane wyziewało dymy i opary... Dzwony wieczorne odzywały się nad niem jęcząco i wesoło... Wybiegające w niebo dzwonnice i wieże, zdawały się stać na straży i w dal patrzeć... Gościniec pod wieczór, im bliżej ku wrotom, tem był pełniejszy...

– Cóż wy ze mną zrobicie? – zapytał ich Grześ. – Jak myślicie? gdzieby mi o nocleg prosić i gospody szukać?

– Na tę noc – rzekł Dryszek – chyba gdzie zakonnicy przyjmą, ale i u nich zawsze pełno. Ja mam u mieszczanina kąt, ale tam na drugiego miejsca niema, a gdyby było, mój stary niełatwoby nieznajomego wpuścić.

– Ja – dodał Samek – w kómórcie u księdza Wacława nocuję, za co mu służyć muszę. Ten także ladakogo nie przyjmie, a pod noc rozmówić się z nim niełatwo... Ze studentów wielu nie ma gdzie głowy położyć i sypia pod murami i po pustych szopkach... Noc wiosenna niedługa, choćbyście też ją na ziemi

gdzie przebyli!!

– A gdzież was jutro napytam? ja, co miasta nie znam? – odezwał się Grześ.

Samek podumał.

– Idź ze mną – rzekł – przy ulicy św. Anny wiem plac, kędy dom murują. Stoją tam tarcice o parkan oparte, pod którymi na trawie jak w pałacu spać będziesz, a jutro ja was tam znajdę, albo wy mnie koło szkoły św. Anny.

Gwarząc tak pominęli bramę i Grześ znalazł się w ulicach, wśród których i znającemu lepiej miasto, o mroku niełatwo było się pokierować. Byłby się obłąkał, gdyby Samek nie wziął go z sobą, ale musiał za to od Dryszka ziele przejąć i korzenie i nieść je za nim, bo starszy około Panny Maryi u mieszczanina miał przytułek...

Gdy tak szli ulicami coraz dalej w głąb miasta, Grześ nie mógł się napatrzyć tego, co mu się nastroczało i nieustannie Samka pytał, który śmiejąc się tłumaczył mu każdą rzecz, na pół po prawdzie, pół drwiąco... Baczemu chłopcu nic nie uszło i straconem nie zostało.

Odgadywał też wiele i był pewien, że kilka dni starczy dlań, aby się tu nie czuł obcym...

Po drodze do mieszkania ks. Wacława kanonika krakowskiego, Samek pokazał towarzyszowi ów parkan i tarcice, pod które się miał na noc schronić... Ale, stało się inaczej...

Ziela i korzonków nakopanych nie mógł wszystkich do komory kanonika zanieść Samek, Grześ je dźwigał za nim.

Mieszkanie ks. Wacława na piąterku było. Weszli już na ciemne schody niewygodne, których nieznając Grześ, macać musiał ostrożnie i dobrze się trzymać poręczy, gdy szelest usłyszawszy niespokojny księżyna, wyszedł z kagankiem.

Miał już zapewne połajac późnionego posłańca, gdy razem w oko mu wpadły i zioła, których zapach aromatyczny do niego dochodził i twarz piękna, z ciekawymi czarnymi oczyma nieznajomego chłopaka.

Podstąpił naprzód niecierpliwie ku kwiatom, które z widoczną radością chwycił w palce, zaczął rozpowiadać gdzie i jak złożone być miały, potem zwrócił się do Grzesia.

– A tyś zkąd?

Nim chłopiec zebrał się na odpowiedź, Samek już z gadatliwością dziecinną, paplał o spotkaniu na gościńcu, a ksiądz, kaganek zbliżywszy ku twarzy Grzesia, przyglądał mu się ciekawie.

– No, i cóż ty myślisz! gdzie będziesz nocował? – odezwał się kanonik.

– Pod tarcicami – odparł śmiało przybyły...

Kanonik ramionami ruszył i zwrócił się do Samka.

– Weź go na ten raz do siebie – rzekł – miejsca nie ma, ciasno, ale go tak precz wyrzucić się nie godzi, tylko żeby mi żadnej swawoli nie było.

Pogroził palcem. Grześ, nie rzucając swego ciężaru, zbliżył się, aby go w rękę pocałować. Otwarto drzwi komórki, w której rośliny schnąć miały. Kanonik wszedł do niej także, aby

dopilnować rozłożenia ich, i rad był, że Grześ roztropnie dopomógł do tego. Uderzyła go widać fiziognomia przybłądy, bo nie dosyć, że mu nocować pozwolił u siebie, ale go do izby swej powołał dla indagacyi. Poznać było można po niej uczonego owych czasów, w których chciwi umiejętności ludzie, chwytali wszystko co ich na drogę nowych odkryć lub dla przeświadczenia się o podaniach zawartych w pisarzach starożytnych, mogło prowadzić. Komora zarzuconą była księgami, naczyniem różnem, kośćmi, szczątkami zwierząt i nieznanemi narzędzmi, które w Grzesiu ciekawość i poszanowanie wzbudzały. Staął zdala, pokornie u progu, wielkie wytrzeszczając oczy.

Kanonik z zajęciem słuchał jego opowiadania, chociaż pochwalić nie mógł oporu rodzicielskiej władzy. Naganił to chłopcu więcej z obowiązku, niż z przekonania.

– Nauka, moje dziecko – rzekł w końcu – piękna rzecz, ale *ars longa, vita brevis*, to znaczy, że więcej jest do uczenia się niż życia starczy i nie każdemu dano dobić się do świątyni mądrości, a każdy może i powinien być pocziwym człowiekiem... Tak, nauka dobrą jest rzeczą, ale i złą być może, gdy upaja i w dumą wbija.

Idź spać i spocznij, a jutro pomyślimy o tobie...

Samek niemal zazdrośnym był, że się tak Grzesiowi powiodło... Położyli się więc spać milczący, a choć biedny wędrowiec miał o czem myśleć, młodość zwyciężyła i ledwie legli, zasnął mocno...

Rano obudził go Samek. Kanonik bowiem wstawał do dnia...

Grześ razem z towarzyszem poszedł na mszę do świętej Anny.

Tu wpadł niespodzianie między całą gromadę przyszłych współuczniów, którzy także na ranne nabożeństwo się stawili. Stał z boku nie śmiejąc się do nich przyłączyć, a wszystkich oczy skierowały się na niego. Wytrzymał te szyderskie i nie zbyt przyjacielskie wejrzenia...

Wyglądał biednie i oszarpano, ale tego nie miał się co wstydić. Inni też nielepiej byli odziani. Wielu miało podarte chodaki, kurtki i kubraki łatane, koszule niebielone i twarze wynędzniałe. Niemal wszystkim jednak z oczów patrzała odwaga, oswojenie się ze swym losem, pewność jakaś, której Grześ nie miał jeszcze.

Studenci zaczęli śpiewać pieśni pobożne w czasie mszy, znane dobrze Grzesiowi, nie miał za grzech i on głos podnieść. Być może, iż i tu rachował na ten swój śpiew w Sanoku sławiony. Jakoż oglądano się na niego, ale i drudzy zawodzili niegorzej a wprawniej i piękny głos jego zagłuszono.

Ubogich tych chłopców spora była gromadka, tak różnego wieku, że niektórzy pod wąsem już, dorośli stali obok berbeciów, którzy im i do pasa nie dochodzili.

Zuchwałe miny starszyny tej dowodziły, że ona tu przewodzić musiała. Wiedział z doświadczenia Grześ, iż wszędzie przybywający obcy i guzami i pokorą opłacić się musiał, był do tego przygotowany. Reszta groszy od Żywczaka otrzymanych była już na to przeznaczoną, aby pierwszą burzę odwrócić.

Przy wyjściu z kościoła otoczyli go zaraz studenci, ale Samek im coś szepnął i dali powrócić do kanonika, który zapowiedział, że się z Grzesiem rozmówi, a poniekąd opiekę mu swą przyobiecał. Ciężka więc ta pierwsza godzina do przebycia, odroczoną została.

Ks. Wacław powracał do mieszkania, a Grześ w ślad za nim dążył...

III

Dobłą godzinę stał ciekawy Samek podedrzwiłmi kanonika, ucha nastawiając, aby rozmowę jego z Grzesiem usłyszeć, ale, czy drzwi były grube, czy głosy za ciche, nie pochwycił wiele. Tem się tylko niepokoił, że badanie trwało zbyt długo.

Znając Grzesia i jego talenta, łatwo się było domyśleć przyczyny. Pochwalił się z pismem nieborak, księdzu w ten tak przedwczesny dar łatwego kaligrafowania wierzyć się nie chciało. Zasadził chłopca na próbę, a Grześ się z niej świetnie wywiązał.

Na wzór liter w rękopiśmie sobie ukazanych, narysował ich kilka bardzo zręcznie, ksiądz Wacław się zdumiał mocno, lecz nie chciał chłopcu okazać, jak go odkrycie to ucieszyło, ani wzbijać w dumę, pochwalił chłodno... Obiecywał sobie z tego szczególnego uzdolnienia korzystać.

Kilka odpowiedzi na zadane pytania z Donata i gramatyki dowiodły, jeśli niewielkiej nauki, to roztropności chłopca, która wiele obiecywała. Wszystko to nęciło kanonika, aby wziąć Grzesia do swych usług, ale dwu trzymać nie mógł, a Samka odpędzić tak nie chciał, dla własnej wygody.

Ogólnemi więc słowy, poleciwszy chłopcu, aby się w potrzebie zgłaszał do niego, odprawił z tem, żeby się szkoły świętej Anny trzymał, gdzieindziej nie szukał pomieszczenia...

– A teraz pierwsza rzecz – dodał – kiedy z jałmużny żyć

musisz, abyś się do ojca zebrzących udał i pod jego poddał władzę.

To mówiąc kanonik drzwi otworzył i Samka chciał zawołać, a stało się to tak niespodzianie, że chłopak ledwie zdołał odedrzwi odskoczyć, aby nie być złapanym na gorącym uczynku.

Nadbiegł Samek przestraszony...

– Idź mi z nim do Patra mendikantów (*Pater mendicantium*) – rzekł kanonik – powiedz mu, że ja go posyłam i że do szkoły przy świętej Annie ma chodzić. Niech go sobie zapisze i wyznaczy kędy ma jałmużnę pobierać...

Odebrawszy rozkaz ten, dodany przewodnik razem z Grzesiem zbiegł ze wschodów z kwaśną miną.

Obawiał się współzawodnika...

Ledwie doszli na dół, gdy Samek nie wytrzymałszy, zawołał srożąc się do wczorajszego przyjaciela.

– Ty! Lizunie jakiś! Już się kanonikowi przypochlebił! No, patrzajże, jak on dla ciebie mnie przepędzi, nie masz tu co popasać. Zbijemy tak, że żyw nie będziesz.

Grześ pobladł trochę.

– Czego ty chcesz odemnie? – odparł. – Anim się myślał lizać twemu kanonikowi, ani miejsca twego nie zajmuję. W szkole dla wszystkich dosyć jest...

To mówiąc Grześ chciał go porzucić i iść już sam, gdy chłopak się pomiarkował i wziął go za rękaw...

– Choć ze mną – dodał – kanonik kazał, zaprowadzić cię muszę do Patra, ale pamiętaj!!

Pogroził mu.

Owego ojca żebrzącej młodzieży zwano Żurawkiem, mieszkał on na tyłach domku przy Kanonnej ulicy, a był chłop już dorosły, wąsaty i nietylko studenci, ale i mieszczaństwo się go obawiało.

W dwunastu ówczesnych szkołach kościelnych, co najmniej kilkaset chłopców się znajdowało ubogich, pod zwierzchnością Patra zostających. Wszyscy oni na jego skinienie gotowi byli, a nikt porządku między tą swawolną gawiedzią utrzymać nie mógł, oprócz niego.

On jeden miał prawo ćwiczyć, do kuny czyli karceresu sadzić, i niepoprawnych z miasta wyświecać.

Żurawek miał pewnie lat do trzydzieści, szkołę elementarną dawno skończył i zapomniał czego się w niej uczył, sam nie wiedział jak przyszedł czasu jakiejś zawieruchy przy pogrzebie żydowskim do zwierzchnictwa nad pauprami, a że energiczny był i surowy, władzę przywłaszczoną zostawiono przy nim.

Chodził Żurawek, obyczajem wieku w sukni klechy, niby duchownej, ale o powołaniu tem wcale nie myślał, ani o przyszłości, bo mu z tem ojcostwem ubogich wcale dobrze się działo.

Żydzi mu się opłacali dla spokoju, aby paprom nie dozwalał znęcać się nad niemi, mieszczenie go częstowali też, aby porządku między chłopakami pilnował, bo starsi nieraz się dopuszczali bójki z czeladzią rzemieślniczą i jeden Żurawek mógł ich w ryzie i garści, jak powiadał, utrzymać.

Choć w czarnej sukni kleryka chadzał, postawę miał wcale

nie kleszą, i więcej na pachółka lub viertelnika wyglądał. Nie wolno było uczącym się nosić żadnego oręża i do sukni duchownej on nie przystawał, ale przez szpary patrzano na to, że Żurawek zawsze chadzał z obuszkim lub nawet kordem pod połą. Potrzebował on ich, bo często zwaśnionych gołemi rękami rozerwać nie było można, trzeba było bić kijem lub płazować.

Plecu szerokich, słuszny, kościsty, niskiego czoła, oczu wpadłych, twarzy zawsze skrzywionej i nadąsanej, Żurawek strach wzbudzał w dzieciakach... Głos też miał taki, że gdy na rynku krzyknął, niemal go u Floryańskiej bramy słyszeć było...

Chodził poważnie, nie spiesząc, ale nogi mając długie, dognął zawsze kogo mu pochwycić było potrzeba.

Gdzie się żywił i czem odziewał, on sam wiedział tylko, nie stołował się nigdzie, ale głodny nie był, i na piwie, które lubił, nie zbywało. Karmili go i poili wszyscy, od żydów począwszy do duchowieństwa.

Z podwładną sobie młodzieżą nie obchodził się łagodnie, utrzymując, że te wszy, (tak się nieprzyzwoicie wyrażał), zjadłyby go, gdyby ich nie karmił. Dobrego słowa nie dał nigdy nikomu, a rzadko która czupryna i uszy ostały się przed nim całe.

Miał to za zasadę, że potrzeba było przy pierwszym spotkaniu postrach obudzić, bo inaczej posłuszeństwa utrzymać nie można.

Nie folgował nikomu, i wiadano, że z nim nie przelewki.

Samek nie ostrzegł o tem Grzesia, co go u Żurawka czekało, zły już na niego był i życzył mu, co ominąć nie mogło, aby Pater zażył go z mańki.

Wchodzili na Kanonną, gdy Samek postrzegł wychylającego się z kamienicy swej Żurawka, z obuchem w rękę i twarzą zarumienioną. Pospieszył więc biegiem naprzód, aby poselstwo sprawić od kanonika, i Grzesiowi wskazawszy Patra, sam drapnął.

Namarszczony stał Żurawek, oczekując zapowiedzianego papra. Począł ostro go pytać. Grześ, choć się strwożył, nie czuł się winnym, odpowiadał śmiało, Pater jeszcze mocniej się nasrożył słuchając.

– Kto nie słucha ojca, matki, musi słuchać byczej skóry! – zawołał Żurawek w końcu. – Rozumiesz ty to? Hę? Zbiegłeś z pod kańczuka ojcowskiego, ale ja też mam dyscyplinę i nie żałuję jej.

Chłopak milczał oczy spuściwszy...

Nastąpiły pytania i odpowiedzi, przyjmowane szydersko, a po nich powtarzane groźby... W końcu nałajawszy Grzesia bez winy, Żurawek poprowadził go z sobą, aby mu ukazać te domy i ulice, w których prosić o jałmużnę wolno było.

– A jak mi cię gdzieindziej złapią moje stare papry – dodał – takie dostaniesz cięgi, że do sądnego dnia popamiętasz.

Obejście się było tak szorstkie, że Grześ zaniemiał strwożony.

Walczyć z głodem i niedostatkiem gotów był zawsze, ale ze złą wolą, nie miał siły.

Spostrzegł Żurawek, nie mogąc z niego słowa wydobyć, że dostatecznie chłopca zastraszył, zamruczał coś jeszcze, pogroził i odprowadził go z fukiem...

Stał jeszcze Grześ w miejscu, w którym go Pater porzucił, gdy mu się szczęśliwym trafem wczorajszy Dryszek nastreczył, który nic o losach jego nie wiedział. Poznał go zaraz, a bodaj piwo wczorajsze przyjaźnie go dlań usposobiło.

– Cóż się z tobą dzieje? – spytał.

Grześ opowiadać mu zaczął...

Nie taił się z tem, że dużo z wczorajszej stracił odwagi, a choć kanonik pobłażliwie go przyjął, Pater za to za boże stworzenie nie miał.

Rozśmiał się Dryszek ramionami ruszając.

– Nie bój się – rzekł – więcej on burczy, niż kasa, a byłeś ze studentami się poznał i z niemi trzymał, nie zrobi ci nic... Że czasem za czuprynę pochwyci, lub za ucho pokręci, to u nas chleb powszedni, od tego ludzie nie umierają.

Dryszek się ofiarował zaraz ze studentami starszemi od św. Anny pomódz zrobić znajomość...

Obyczaj i u pauprów już naówczas naśladować szkół wyższych tradycje, choć potajemnie i ukradkowo, każdego nowego przybysza zmuszały do wykupienia się od męczarni, które pod pozorem okrzesywania nieuków, zadawano nowicyuszom...

Mieli nawet pauprowie gospodę taką, w której kozłom ofiarnym, przybywającym, rogi odpiłowywano i brusy niezgrabne obcinano, aby ogłady nabrały...

W Grzesiu zapowiedź łych obrzędów wstręt i strach obudzała. Począł się Dryszkowi wypraszać i gotów był mu cały grosz oddać

na poczęstowanie, byle się od piłowania i ociosywania uwolnić.

Ośmielił go, grosz wzięwszy chłopak, iż mu krzywdy uczynić nie da i wszystko się obejdzie, lekko.

Otrząsiny miały się odbyć nad wieczorem... Trzeba jeszcze było iść do preceptora zebrzących i temu się też stawić... Dryszek miejsce i godzinę wskazał. Rozstali się, na wieczór odkładając drugie spotkanie.

Grześ nieszczęśliwy, głodny, zmęczony, w końcu musiał pomyśleć o sobie i trafiwszy na owo schronienie pod tarcicami, ostatki chleba i sera tam spożył...

Tu siadłszy sam, zadumał się smutnie, owo życie, którego pragnął, rozpoczynało się twardo i groźnie... Były to początki wprawdzie, ale nie rokowały one drogi łatwej...

Cofać się już nie czas było...

Czuł, że w Samku miał już nieprzyjaciela, a grozę, jaką obudzał ojciec, tu obcy budził w nim. Pomodlił się, łzy otarł, posiedział w kryjówce i dobył się z niej w końcu...

Dnia tego miał jeszcze zapoznanie się w gospodzie z towarzyszami i zaszeregowanie do tej gromady, której musiał być częścią posłuszną.

Dryszek był mu pomocą niemałą. Zarządził tak, aby dla starszych więcej piwa zostało, iż młodszych do gospody nie zawołano... Skończyło się na kilku poszturchańcach, na pytaniach podstępnych, na nauce potem jak trzeba było kupy się trzymać i choćby cię pieczono i warzono w smole, nikomu nie powiadać co się działo w szkole... Piwo i pocałunki braterskie

dokończyły obrzędu, po którym Grześ wolniej odetchnął...

Samek, który się stawiał na otrzęsiny, dodał przestrogę od siebie, że gdyby broń Boże kanonikowi się przyliżał, a jego z komórki wysadził, niech lepiej potem z miasta się wynosi...

Grześ jakoś się poczuł śmielszy.

– Słuchaj no – rzekł – jam do księdza kanonika sam się nie wpraszał... Zaprowadziłeś mnie do niego... Nie będę się z tem tał, że mi kazał pokazać sobie jak piszę, a pisanie mu się podobało... Jeżeli mi potem za opiekę nademną, każe sobie przepisywać, czym winien?

– A ja ci to tylko powiadam, słysz – przerwał Samek – że jak mnie odpędzi, ja na twoich plecach szukać będę mojej straty!

Grześ zamilkł...

– Nie pójdę do niego, chyba mnie sam zawoła – rzekł po chwili.

Starsi zagadali o czym innym, a Samek mruczając w kąt poszedł... O noclegu nie myślał dotąd Grześ, albo pod tarcice znowu wleźć, lub gdzie się pod kruchtę wcisnąć, zdawało mu łatwem... Tymczasem godzina wieczornej zebranki nadeszła, głód dokuczał, i trzeba było poraz pierwszy iść ode drzwi do drzwi z miseczką.

Domy sobie miał wskazane, pamiętał je dobrze, ale kto w nich mieszkał, i jakie go tam, nieznanego, czekało przyjęcie!! Bóg wiedział tylko...

Z bijącym sercem, miseczkę swą odjawszy od pasa, zastukał do drzwi pierwszego dworku... ale tak nieśmiało, że nikt go nie

posłyszał, czekał długo, poraz wtóry uderzyć nie śmiał, i odszedł z próżną miską.

W progu drugiego domostwa, patrząc na to, stała średnich lat niewiasta, trzymając kilkoletnią dziewczeczkę za rękę.

Mieszczka była przystojna, pięknej tuszy, biała, w czółku na głowie błyszczącym, w rańtuchu świeżym, twarzy wypogodzonej i wesołej. Dzieweczka może ośmioletnia, podobna do niej, śmiejąca się, tupcząca nóżkami, także przystrojona jaskrawo, razem z matką przypatrywała się Grzesiowi zdaleka, i gdy z kolei zbliżył się do nich, zdejmując czapczynę, a pokazując próżną miseczkę, jejmość pochyliła się ku niemu, bo na wysokim wschodku stała i chcąc lepiej mu się przyglądać, pod brodę go wzięła...

Piękna twarzyczka chłopaka z czarnymi oczyma, uderzyła ją i litość wzbudziła...

Nim się odezwał, poczęła mówić żywo złamanym językiem, poczem poznał Grześ, że rodem niemka była.

– A ty zkąd! Jeszcze cię nigdy tu nie było...

Małe dziewczę śmiejąc się, pieszczoszka zuchwała, przybliżyła się także do Grzesia i naśladując matkę, pulchniutką łapką chwyciło go za podbródek... Chłopak zobaczywszy tę białą rączynę dziecka tuż przy ustach swych, pocałował ją, co w dziewczęciu śmiech głośny wzbudziło...

Matce oczy się zaświeciły...

– Cóżes ty za jeden? mów!

Nim się na odpowiedź zdobył Grześ, mieszcza po namyśle

skinęła na niego i za sobą wprowadziła do dworku... Dziwnie pięknie i czysto wydało się tu Grzesiowi. W izbie, do której weszli z sieni, drzewo i mosiądz, cyna i szkło świeciło, jakby tylko co z rąk kunsztmistrza wyszło... Woń jakaś zdrowa i miła napełniała mieszkania.

W krótkich słowach, od pokłonu począwszy, chłopak rozpowiadać począł o sobie. Nie uważał tego, że na ławie w kącie, nad sporym kuflem, podparty na łokciach obu, siedzący w milczeniu mężczyzna, przysłuchiwał się też opowiadaniu...

Grześ nie pamiętał własnej matki, niewiast mało widywał i to takie, które dzieci nie lubiły i ostro się z nimi obchodziły; łagodny głos i wyraz twarzy matki i dziecka, serce mu otworzył, dobył z niego i uczuć i słów wcale różnych od tych, którymi tłumaczył się przed innemi ludźmi...

Poskarżył się na swoją dolę...

Był sam, nad nim jeden Bóg na niebie, na noc nie miał dachu nad głową, chleb musiał u litościwych wypraszać ludzi...

Mieszczka słuchała, dziewczeczka nawet zdawała się go rozumieć i litować nad nim. Co więcej, siedzący opasły nad kuflem mężczyzna zamruczał dziwnie i zaszwargotał coś niezrozumiałego...

Grześ stał ze swoją miseczką jeszcze, gdy zawołano sługi. Ruszyła się dziewczyna od matki i biegnąc a spiesząc się przyniosła garnuszek, z którego, kazawszy usiąść na ławie, dano chłopcu jeść kluski z mlekiem, które mu bardzo smakowały. Matka, dziecko i opasły mężczyzna siedzący w czapce za stołem,

z pociechą jakąś przypatrywali się pożywającemu.

Mieszczka pytała go ciągle, a Grześ ośmielony, wesoło rozповідаł o sobie. Dzieweczka, niespełna po polsku rozumiała, kiedy niekiedy pytała matkę o tłumaczenie tego, co chłopiec mówił o sobie.

Wszyscy widocznie litowali się nad biednym. Gdy przyszło do zapytania o nocleg, a Grześ o swoim schronieniu pod tarcicami mówić zaczął, mieszczka załamała ręce białe, a gruby milczący człek z za stołu po niemiecku coś zamruczał i z kobietą się naradzać zdawał.

Zjadł w końcu Grześ i pokłoniwszy się pięknie, jejmość chciał w rękę pocałować, gdy ta go zatrzymała.

– Nie może być, abyś tak na podwórzu spał – rzekła. – Pan Bóg cię nam zesłał, trzeba ci dopomódz. Jest komórka u nas próżna, gdzie się przespać możesz, póki sobie lepszego nie znajdziesz miejsca.

Nie wiedział chłopiec jak dziękować. Zajęto się nim zaraz pilno. Dzieweczka równie, a może więcej od matki Zaprowadzono go do owej komórki na tyłach, w której kilka próżnych fas stało, a knecht Niemiec, przysadzisty, karłowaty, słomy mu w kątku posłał.

Izdebka była prawda przyciemna, z jednym okienkiem małym za gęstą kratą, bez zamknięcia, ale powietrze wiało łagodne i na sypialnię lepszego kąta nie mógł chłopak pożądać. Bogu więc dziękował.

Sen przyszedł rychło, a choć z nim dziwne marzenia,

w których studenci mu dokuczali, przeleciały także. Grześ się przespał do rana, i jak tylko w podwórku ruszać się zaczęło był na nogach...

Stara służąca zobaczywszy go wchodzącego, z polecenia swej pani, dała mu jeszcze kawałek chleba z serem i przypomniała, żeby śmiało na noc przychodził.

W kościele św. Anny Grześ nie zastał jeszcze nikogo, oprócz dziadów, którzy zamiatali i porządek robili, czekał więc cierpliwie w progu. Zadzwoniono na mszę i dziatwa ściągając się powoli zaczęła, choć Grześ wczoraj już został przyjęty do gromadki, nie obeszło się bez potraçań i psot, bez pytań i śmiechów. Krakowskim pauprom ten przybłęda z Sanoka wydawał się biedotą i nieukiem. Szydzili więc sobie z niego, co on cierpliwie znosił. Stał już do mszy świętej w szeregu z innemi, ale na końcu, jako najpóźniej przybyły, z niedorostkami, którzy nie byli litościwsi od starszyny.

Ze mszy wprost potoczyło się co żyło do szkoły, która podzielona była na kilka części, a do najostatniejszej ledwie Grzesia przyjęto.

Wszedł o kiju preceptor pauprów, starowina zawiedły, z gębą zaciśniętą, bezzębną i policzkami wpadłemi. Katederka sosnowa z pulpitem, w której zasiadł, tak ustawiona była, że po obu jej stronach ławeczki się mieściły, a w nich studenci. Grześ ledwie się do ostatniej docisnął. Poczęła się nauka od modlitwy, po której rzuciwszy okiem na uczniów, stary Blasyusz senior, dojrzał nieznanego Grzesia. Powołano go na środek. Gotowali

się towarzysze wyśmiać nieuka, ale Sanoczanin wyszedł śmiało.

Blasyusz tedy przystąpić mu bliżej rozkazawszy, wziął się do indagacyi. Okazało się naprzód, że chłopak czytać dobrze i pisać umiał lepiej, niż się tu ktokolwiek spodziewał. Przyszło potem do Donata i Prisciana, których że Grześ już parę razy przepisywał, umiał *expedite* obu i z gramatyki wyszedł zwycięzko.

Zdumienie wielkie wyraziło się milczeniem ponurem. Senior usta jeszcze mocniej zakąsił. *Dystychy Katona*, z którymi ofiarował się popisać chłopak, do reszty towarzyszków jego przybiły...

Na wiek swój, nie można było powiedzieć inaczej, tylko że Strzemińczyk ubogi był cudownem dziecięciem. Zazdrość obudziła się w chłopiętach, które gotowały się wyśmiewać z niego.

Preceptor tylko nie dał poznać po sobie zdziwienia, wyegzaminowawszy chłopca sięść mu kazał i spozierając na niego zdala ciekawie, wziął się do innych.

Grześ miał tyle powściągliwości, że wcale zwycięstwem nie okazał się dumnym, a przy wykładzie seniora pilno uszu nastawiał. Tem go sobie pozyskał.

Godzina nauki przeszła ze zwykłemi epizodami, kar, strofowania i powtarzanych lekcyi a gdy dzieci rozchodzić się miały, Blasyusz dał znak Grzesiowi aby się zatrzymał. Poglądził go po głowie, pochwalił, i z tem odprawił, że nazajutrz obmyśli, gdzie go posadzi i czego mu się uczyć każe.

W dziedzińcu pozostała gawiedź, gdy Grześ wyszedł, już go

inaczej powitała. Nie szydzono sobie z niego, ale widocznie mu zazdrozczono. Samek koso nań patrzył.

Miał polecenie od kanonika Wacława, aby go z sobą do niego przyprowadził. Nie groził mu już teraz, kwaśno tylko i powzdychując, żalił się na swój los, w ciągłej będąc obawie, aby go przybysz z komórki kanonika nie wysadził.

Uspokoił go chłopak jak mógł i umiał, zaręczając, że z niczyjej krzywdy nie chciałby korzystać i samby się za nim wstawił. Gospody też nie potrzebował już, bo mu ją opatrność cudownie naraiła.

Z wielką dobrocią przyjął go ks. Wacław, rozpytując o szkołę i jak mu się powiodło. Grześ miał do dobrego starego księżyny śmiałość wielką, i wszystko mu opowiadał co mu się przygodziło, a kanonik ciągle tylko powtarzał.

– Panu Bogu dziękuj, panu Bogu dziękuj, a w pychę się nie wbijaj.

Ponieważ wczorajsza próba pisania tak wypadła dziwnie, iż kanonikowi w nadzwyczajną kaligrafię dziecka wierzyć się nie chciało, tym razem miał już przygotowany papier, inkaust, pióra, pulpit, wzór, i stanąwszy za Grzesiem kazał mu w oczach swych modlitwę przywiezioną przez pewnego pątnika z Jerozolimy przepisywać.

Nie była ona długa, ale ten co ją kaligrafował wprawną ręką, nie żałując *rubrum*, i popisując się z rozmaitemi wykrętami, zrobił ją jakby popisowym obrazkiem.

Grześ takich elegancyi nie widział jako żywo, długo się

naprzód przypatrywał, ale o sobie nie wątpił. Wziął się naprzód do rubrykowania, które pisanie ułatwiało, potem zlekka pooznaczał miejsca, które na czerwone litery zostawić było potrzeba, wreszcie przeżegnawszy się zasiadł do roboty.

Rękopism był dosyć stary, więc tem wyraźniejszy, bo w XV w. już coraz mniej pięknie i nie tak dokładnie pisywano, a skrócenia się mnożyły, Grzesiowi więc łatwo przyszło wiernie powtórzyć co miał przed sobą. Było tego razem około dziesiątka wierszy nie długich. Około Amen, piszący napłatał linii naśladowujących niby gałązki z liśćmi, co mogło się najtrudniejszym wydawać, a Grzes i z tego wyszedł zwycięzko, i *rubrum* potem wzięwszy, czerwone litery podopisywał bardzo zręcznie.

Kanonik patrząc za boki się trzymał, oczy przymrużał i mruczał.

– Chwat! gracko! Daj go katu...

W tem nagle zapytał.

– Wieleż liczysz lat?

– Liczyli mi dwanaście skończonych.

– *Mirabile!* – zamruczał ks. Wacław biorąc modlitwę do ręki.

– Ucz się ucz, chleb mieć będziesz.

Nie śmiał go zaraz do roboty zaprządz, ale za modlitwę dał mu kilka pieniążków i kazał się dowiadywać do siebie.

– Ucz się łaciny – dodał – wyjdiesz na człowieka!!

Izba była pełna rękopismów u ks. Wacława, wziął się więc je pokazywać Grzesiowi jedno po drugim, coraz piękniejsze, zachęcając go, aby i on do takiej doskonałości dążył.

Ale tu już były i takie, na które się chłopak wcale porywać nie mógł, bo i pierwsze ich karty i nagłówki i boki stały farbami cudnie malowane, jakby w kwiaty żywe, a wielkie litery tak były misternie budowane, że się w nich mieściły całe obrazy... Boga Ojca z Duchem świętym, krzyż synowski trzymającego na łonie, Zwiastowanie Bogarodzicy, Wniebowzięcie, zesłanie Ducha świętego i t. p.

Grześ podziwiał tę sztukę, z jaką miniaturzyści wszystko to w maleńkich rozmiarach tak ślicznie umieli pomieścić, nadając życie postaciom drobnym. Oprócz tego kunszt był nie mniejszy w złoceniu i malowaniu kwiatów i zwierząt takich, jakich żywych nigdy ludzkie oko nie widziało...

Z tych śliczności poznał dopiero Grześ, jak mu wiele brakło, aby się mógł zwać kaligrafem, a nawet w duszy przyznać musiał, że malować tak nie potrafi nigdy.

Nie zraziło go to jednak od pracy. Tak dzień ten przeszedł w części u kanonika, potem ze studentami, u Samka, a gdy się wieczór zbliżał Grześ, choć z pewną trwogą pociągnął do domu Niemca.

Wiedział już, że go zwano Balcerem, że miano było za bogatego, i ludzie o nim mówili dobrze. Handlował on towarami łokciowymi, sklep miał w Sukiennicach i ławnikiem był wybrany.

Choć Niemiec, Balcer, dawno tu zamieszkałszy, do kraju się przywiązał, a żona i córka jedynaczka nauczyły się trochę po polsku.

Stał on o to, aby języka nabył i sam choć łamaną mówił polszczyzną.

Jeszcze Grześ był od dworku Balcera daleko, gdy dostrzegł, że dziewczeczka ze drzwi w ulicę wyglądała, jakby się go spodziewała. Jakoż poznawszy, pobiegła do matki i gdy się zjawił w progu, sama już dźwigała garnuszek chlebem przykryty, uśmiechając się do niego...

Balcer, który wczoraj za stołem siedział, dnia tego nie było, jejmość tylko i słudzy. W czasie gdy się posilał pauper, mała Lena stanęła przy nim, oparła się na ławce i zaczepiała go, dopóki nie począł z nią rozmowy...

Dziecko było jak piękne tak rozumne, wesołe i śmiałe a gadatliwe. Szczebiotało niegorzej od matki po polsku i z tym językiem się przed Grzesiem popisywało. Musiał przez wzgląd dla matki zabawiać ją chłopak, aż póki się nie zrobiło ciemno, Balcer nie powrócił, a jemu do komórki odejść nie dozwolono...

Takie były początki studenckiego życia Strzemieńczyka...

Nadzwyczajne zdolności bardzo wprędce dozwoliły mu się odznaczyć i zająć miejsce w szkole między najstarszymi, a być nawet pomocą nauczycielom. Rokowano mu wielką przyszłość, tembardziej, że pokornym był i w dumę się nie wzbijał.

Czuł to bardzo dobrze, iż mu całe morze do wypicia w nauce zostawało, że stał u brzegu dopiero... Sięgał myślą tych wyżyn, których się chciał dobić. Chłopcy, co mu zazdrościli w początku, prześmiewali i szkodzić byli radzi, uciekali się teraz o pomoc do niego, której im nie odmawiał. Mało jednak z nich umieli mu

być wdzięczni, był im solą w oku, bo seniorowie na niego drugim ukazywali i chwalili.

U Balcerów, choć im ciężarem nie chciał być, tak się złożyło, że mu już odejść nie dano. Staremu zapisywał rachunki, a Lenka wyprosiła sobie, żeby ją uczył po polsku, czego i matka i ojciec życzyli. Komórkę opróżniono z fasek, dano okiennicę w niej i zrobiła się z niej izdebka niczego, w której stół się znalazł i ławka...

Ks. kanonik Wacław posługując się także Grzesiem, którego bardzo polubił, dał mu starą koszulę i suknię przenoszoną, którą przerobił krawiec na tak piękną, iż jej paupry zazdrościli.

Balcerowa i Lenka różne mu gałganki wtykały, opatrując go i coraz się do niego więcej przyzwyczajając... Uczył wciąż Grześ po polsku przy matce córkę, a stało się, że i sam z tego niespodziewanie skorzystał, bo mimo wiedzy i woli prawie, począł po niemiecku szwargotać.

Miał i pamięć doskonałą i łatwość uczenia się wielką, tak że rok nie upłynął, a już się mógł po niemiecku rozmówić.

Z łaciną też szło rażno i dystychy Katona przeszedłszy, dalej retoryki już poczynął kosztować Grześ, szybkie w niej czyniąc postępy. Śpiewem, do którego miał głos i ucho osobliwe, celował pomiędzy uczniami i przy kantorze stawał, młodszych musztrując...

I tu go podziwiano, a lubowano się dyskantem, gdy przy cytrze pieśni zawodził.

Rok przeleciał jak błyskawica... nie zmieniło się nic, oprócz

że Grześ pewniejszym coraz był siebie, a to, czego się uczył chciwie, nie starczyło mu. Radby był prędzej przebył tę przestrzeń, którą drudzy mozolnie przechodzili, lecz nauczyciele sami wstrzymywali go i hamowali tę porywczosć młodzieńczą.

Rósł też chłopak jak na drożdżach, a co drugim lata często dziecinną piękność odejmują i z wyrostków przystojnych, czynią pospolitych ludzi, jemu wiek i do rozwinięcia się dziwnie wdzięcznego dopomagał. Nie szkodziło to wcale, bo marna ta piękność cielesna, choć trwa tyle co kwiatek i niewiele ważyć się zdaje, przecie serca i oczy porywa, uprzejmość zyskuje, uprzedza dobrze i w życiu pomaga.

Grześ stawał się coraz piękniejszym, a twarz, której oczy ciemne patrzyły rozumem, miała wdzięk jakiś, którego sile nikt się oprzeć nie mógł. Pieszczono go u Balcerów, lubiono wszędzie, zapraszano z cytrą na ucztę, aby śpiewał, obdarzano chętnie. Nie zbywało mu na niczem.

Osobliwie mieszczanin, żona jego i Lenka przywiązali się do paupra, tak że domownikiem ich stał się i jakby do rodziny należał.

Miseczką drewnianą Ryby mógł na półce postawić, bo jej wcale nie potrzebował. Nieznacznie jakoś przyszło do tego, że mu u stołu zrobiono miejsce, a gdy się spóźnił, zostawiano jedzenie.

U ks. Wacława zawsze jaką godzinę spędzał za pulpitem, coś mu przepisując, więc się do coraz nowych charakterów przyzwyczajał, nabył wprawy jeszcze większej i nietylko

kopiował co mu dano, ale począł charaktery wszystkie naśladować tak, iż pisma jego od oryginału rozpoznać nie było podobna.

Uparłszy się nawet, trudne i zawiłe znaki notaryalne w dokumentach tak przerysowywał, iż ci, co je kładli, ze strachem się przyglądali ich powtórzeniu, i krzywem okiem patrzali na chłopca, który, gdyby nie pieczęcie, każdy akt mógł tak naśladować, że najwprawniejsze oko fałszerstwaby nie odkryło...

Grześ jednak wcale o złem nie myślał i dla popisu tylko sztuki te okazywał.

Drugiego roku chłopak znowu podrósł znacznie, zmężniał, a że ciągle z ks. Wacławem obcował i przysłuchiwał się ciekawie każdemu jego słowu, pochwytał od niego wiele wiadomości, które naówczas mało komu były znane. Uczył się własności ziół, kamieni, osobliwych tworów natury i świata zwierzęcego, których był bardzo ciekawym. Samo przepisywanie, gdy z łaciną coraz się więcej oswajał, szło mu na korzyść, bo choć nie wszystko rozumiał, gdy o objaśnienie zapytał księdza, kanonik mu je chętnie dawał, i miło mu było widzieć tę ciekawość amanuensa.

Lecz ks. Wacław też wpajał w niego, że natura pełną jest niezbadanych tajemnic, i że człowiek w jej wielkiej, żywej księdze, zaledwie czytać się uczył, tyle tam było rzeczy zakrytych, których nigdy może rozumem swym dobadać się nie potrafi.

Czasem, gdy się starowina rozgadał, a był usposobionym, poczynął Grzesiowi prawić o tych cudach, jakie w owych wiekach po księgach i w tradycjach obiegały, głoszone za prawdę... Więc smoki, gryfy, bazyliszek, inne stworzenia bajeczne, własności dziwne kamieni, istoty powstające *sponte*, odradzające się na stosach jak fenix, przesuwwały się w tych opowiadaniach, jak poemata przed zasłuchanym w powieści starego Grzesiem... Świat ten nęcił go nadzwyczajnie, lecz wiedział, że nie był on dostępnym wszystkim, i że arkana te tylko dla wybranych się otwierały. Jemu naprzód potrzeba było tych skrzydeł, które go podnieść miały tam, z kąd dalekie mógł horyzonty oglądać. Nauka języków była najpierwszą i najtrudniejszą... Jednego pisarza starożytnego poduczywszy się rozumieć, z jego mową oswoiwszy, Grześ postrzegał, że gdy nieznanego potem wziął w rękę, na nowo jego język musiał sobie przyswajać... Gramatyka co wszystkie wrota otwierać miała, doprowadzała tylko do progu, Donat, Aleksander i Priscian nie starczyli mu...

Ale głowa się chłopcu otwierała, a im więcej się uczył, tem się nauki pożądlivszym stawał...

Kanonik patrzył nań z pociechą i z trwogą.

Przy takich zdolnościach i takiej chciwości wiedzy, zdawało się niewątpliwem, że chłopię to do innego stanu jak do duchownego przeznaczonem być nie mogło.

Świeccy ludzie, w życiu czynnem, które szło wybitemi kolejami, nauki w ogóle nie potrzebowali. Była ona wyłącznym

monopolem duchowieństwa.

Nie podlegało wątpliwości, że ów Grześ musiał w końcu księdzem zostać, ale kanonik zagadując go o powołanie, nie mógł w nim odkryć dotąd ani myśli, ani szczególnej chęci obleczenia sukni duchownej.

Grześ jakoś o przyszłości w ogóle wcale nie myślał, i gdy drudzy uczyli się dlatego, aby ją sobie zapewnić, on uczył się dla nauki. W ubogim chłopcu było to tem dziwniejszem...

W początkach po przybyciu do Krakowa, nie jeden raz myśl Strzemieńczyka zwracała się ku dworcowi w Sanoku, do ojca i brata. Choć się tam z nim nieludzko obchodzono, trochę serca przywrzało do kolebki. Powoli jednak zacierały się wspomnienia, przywiązywał się do tego miasta, w którym naukę było czerpać łatwo...

Ale i dalszy świat go nęcił.

W domu Balcerów nasłuchiwał się o Niemczech dużo, o miastach, w których i bogactwa wielkie i nauki skarby były nagromadzone. Przybywali tu ludzie zdaleka, powieści przylatywały z całego świata... Tu zasłyszał o Włoszech, do których jeżdżono po naukę i z Polski, o krajach na zachodzie, z których do Polski wyroby tak piękne i misterne przywożono, jakich tu nikt robić nie umiał.

Powziął więc wielkie wyobrażenie o tych nieznanych krajach i gorącą chęć ich poznania. Na męztwie do rzucania się w podróż nie zbywało mu... Taił się z tą myślą przed wszystkimi, boby go zakrzyczano pewnie, iż rwał się bezrozumnie za góry, gdy

w domu, w Krakowie *Collegia* były otwarte, w których nauki wszelkie wykładano, i gdzie bakałarzem, mistrzem, a nawet doktorem było można zostać, tak że i na obcych nie zbywało, co z tych źródeł czerpali.

Wiedział o tem Grześ, a przecież myśl wędrówki go nęciła.

U Balcerów rozpowiadano o tem często, jak w Niemczech dla nauczycieli różnych, młodzież od miasta do miasta wędrowała, od każdego z nich coś nowego się ucząc. Pełne były naówczas Niemcy tych ubogich pątników, których Vagantami zwano, a że nie wszyscy trzeźwo żyli, Bacchantami też ich szydersko mianowano...

Nie wiedział on, iż znaczniejsza część tych pielgrzymów, którym statku brakło i prawdziwej miłości nauki, włóczyła się od furty do furty, od gospody do gospody dla chleba, kradnąc gęsi po drodze, i wyzyskując postrachem mieszczan i włościan, lecząc i czary odprawiając bałamutne. Zdawało mu się, że ich taka żądza wiadomości gnała w świat, jaką on sam czuł w sobie.

Do tej wielkiej ochoty uskoczenia w świat, przed nikim się nie przyznawał, choć ją w sobie żywił. W tej myśli też korzystał z pobytu w domu Balcerów, coraz się pilniej ucząc niemieckiego języka, który mu za Łabą miał służyć...

Gospodarzom swym nawet nie wyjawiał żądzy, która umysł jego opanowała.

Trzy już lata upływało od przybycia Strzemieńczyka do Krakowa, i szkołę trywialną Grześ dawno skończywszy, uczył się już dochwytkowo tu i owdzie, zaglądając wszędzie gdzie mógł

i zapas sobie przysposabiając na drogę...

W piętnastym roku wás mu się zaczął wysypywać przedwcześnie, wyrósł, wypiękniał, siły nabrał, a nic o przyszłości nie postanowił dotąd, oprócz, że nauki musi kędyś dalej szukać, aby ją przyniósł do domu...

Uciec jednak nie opowiedziawszy się nikomu, nie godziło się. Współuczniom, którzy zawsze zawistnym nań spoglądali okiem, spowiadać się nie potrzebował z tego, co chciał począć, ale Balcerów tak opuścić, kanonika porzucić, serce wdzięczne nie pozwalało.

Do swej gospodyni, która nań była bardzo łaskawą i niemal jak dziecko własne go kochała, przywiązał się równie jak do starego Balcera, a najbardziej do dwunastoletniego wyrostka Leny... Dziecko to w oczach jego rozkwitło i rozwinęło się cudownie, a rodzice utrzymywali, że Grześ przyczynił się do ułatwienia tej nauki, jaka kobiecie była do jej życia potrzebną. Od niego nabyła wprawy do mówienia po polsku, on ją na cytrze grać i śpiewać poduczył, jemu winną była, że ojcu mogła pomagać w rachunkach, a nawet coś zapisać za niego. Dziewczę nadzwyczaj było pojętne, nauczyciel pilny i serdeczny, Lenka też nie potrzebowała wiele, bo kobiety naówczas małym się ograniczały, naturalny rozum, dowcip, domyślność z tego ziarenka, które im dano, snuły resztę.

Grzesiowi opuścić ten dom i swą uczennicę, która do niego była przywiązaną, boleśnie przychodziło... ale też sama żądza, co go wygnała z Sanoka, parła dalej w świat, obiecując złote góry.

Trzy lata tu przebywszy, skorzystawszy wiele, postanowił puścić się na wędrówkę. Pierwszemu z tą myślą zwierzył się kanonikowi Wacławowi, który przyjął zdumionem milczeniem niespodzianą wiadomość.

Gdyby był mógł, wstrzymałby go był pewnie, ale sumienie czyniłoby mu wyrzuty; mówił sobie w duszy, że chłopaka przeznaczeniem było szukać mądrości, że w nim głos wewnętrzny był oznaką powołania.

Mimowolnie zwilżyły mu się powieki, nie rzekł słowa, zbliżył się do Grzesia, wziął go za głowę i w czoło pocałował. Chłopak przypadł mu do kolan.

– Jeżeli czujesz w tem wolę Bożą, idź – rzekł. – Szkoda mi ciebie, ale któż wie? może podróż ta będzie pomyślną, a ty z niej wrócisz, abyś był chlubą i ozdobą naszą.

Trudniej przyszło Grzesiowi przyznać się do zamysłu swego Balcerom. Cicho naprzód powiedział o tem samej jejmości. Balcerowa lubiła go bardzo, ale dziecię swe kochała więcej jeszcze, a obawiała się może coraz wyraźniej objawiającego przywiązania ubogiego chłopca do swej jedynaczki...

Niebardzo się więc sprzeciwiała. Dobroć jej tylko okazała się w macierzyńskim staraniu o wybór do tej podróży, na którą Grzesia chciała wyprawić zaopatrzonego we wszystko, co ją mogło ułatwiać...

Przed Leną tajono długo, że ją młody nauczyciel i towarzysz miał porzucić. Jednego wieczora stali oboje we drzwiach od ulicy, rozmawiając i śmiejąc się, gdy Grześ spojrzawszy na

wesołe dziewczę, nagle posmutniał.

Z napastliwością pieszczonego dziecięcia, które wie, że mu nic odmówionem być nie może, Lena zaczęła badać o przyczynę zachmurzenia.

– A! – odezwał się chłopak – jakże nie mam się smucić, gdy lada dzień będę musiał precz ztąd iść.

Lena poskoczyła w ręce uderzając.

– Dlaczego? dokąd? – krzyknęła. – To być nie może.

– Być musi – rzekł smutnie Grześ – całym majątkiem to co umiem i czego się nauczę, muszę więc w świat iść szukać mądrości.

Lenie łzy stanęły w oczach, nie mówiła nic, rękami tylko strzepując.

Grześ jako starszy, począł tłumaczyć konieczność i mówić o przyszłości, o powrocie...

Dziewczę nie wiedząc jak go przekonywać i od tego zamiaru odwodzić, na skargę pobiegło do matki, ale znalazło ją już przygotowaną...

Trzeba się więc było poddać konieczności, której Lena wcale nie rozumiała... Uległa jej ze srogim żalem do Grzesia, na którego się gniewać chciała i nie mogła...

Płakała w swej izdebce, a matka nie mogąc inaczej, pocieszała ją tem, że dobry przyjaciel powróci...

W komórcie chłopaka leżały już węzélki gotowe, bielizna, trochę odzieży, żywność i kaletka z groszykami uzbieranymi. Grzesiowi ścisnęło się serce... Obawiał się pożegnania i własnej

słabości, i jednego dnia wiosennego, podobnego do ranka w którym Sanok opuścił, wyszedł z tłumoczkiem na plecach, z kijem w rękę, przestępując próg gościnnego domu, gdy wszyscy spali jeszcze... Po cichu otworzył i zamknął drzwi za sobą... Spojrzał na ciche domostwo, pobłogosławił dobrym ludziom, i budząc w sobie męztwo, puścił się ulicami pustymi miasta ku Floryańskiej bramie...

Godzina była tak wczesna, że nikogo prawie nie spotkawszy, dostał się na przedmieścia. Zwrócił się raz jeszcze ku grodowi temu z niemem pożegnaniem, i nagle, jakby sam się lękał siebie, począł szybko iść gościńcem, nie oglądając się już, a w duchu powtarzając tylko:

– Powrócę! powrócę...

Gdy przez cały dzień Grzesia nie widziano w mieście, wieść się zaraz rozeszła, że zbroiwszy coś, uszedł, obawiając się kary.

Bronić go nie było komu.

IV

W pięć lat po owej mniemanej Grzesia ucieczce, w gospodzie pod Krakowem, która się zwała Podrębą, na przyźbie odpoczywał młody podróżnik, którego suknie pyłem okryte, uznojona twarz, buty zbłocone i zbielałe od kurzu, o długiej wędrówce powiadały.

Właśnie był spory tłumoczek zdjął z ramion i złożył go przy sobie na ziemi, rozglądając się po okolicy. Z sukni i stroju miarkując, przybysz się wydawał cudzoziemcem. Ubrany był tak jak w Niemczech naówczas chadzano, nie wykwintnie ale czysto. Samo to, że pieszo odbył podróż dowodziło, iż niezamożnym być musiał. Suknie z grubej tkaniny i niepokażne potwierdzały to przypuszczenie.

Do pewnego stopnia wszakże twarz i postawa wędrowca kłam zadawały temu; oblicze miał piękne, rysy szlachetne, a wyraz ich energiczny i dumny, nie godził się z wyszarzanym kubrakiem. Spoglądał śmiało dokoła, a usta mu się dziwnym uśmiechem ścigały.

Gospoda przedmiejska podobną była do wszystkich tego rodzaju zajazdów, do których się zbiegają szumowiny gminu, włóczęgi, żebracy, i to co w mieście albo się pokazać nie śmie, lub tu łatwego zarobku szuka...

Przed wiechą siedział ociemniały starzec na ziemi z wyciągniętą ręką i oczyma białymi podniesionymi do góry,

głosem schrypłym nucąc pieśń jakąś. Przy nim małe chłopię, zwinięte i zgarbione ze znużenia, drzemało...

Dalej roztruchacze opatrywali konie chude, najpewniej gdzieś z paszy skradzione, które im obdarci ludzie narzucali za bezcen.

Z izby słyhać było buchający gwar pijanych i krzykliwe zawodzone śpiewy. W sionce ujawszy się pod boki niemłoda kobieta, z zarumienionymi mocno policzkami, przechylała się z nogi na nogę, jakby wzywała do płasów.

Wozy włościańskie zatrzymywały się na chwilę i kmiecie nie zsiadając, wołali do gospodarza o piwo...

Gospodarz, człek wzrostu wielkiego, obrosły strasznie, z czarnymi oczyma, które patrząc bodły jak noże, wybiegał coraz, w niskich drzwiach się pochylając, to z drewnianym kubkiem, to z blaszaną miarą, wynosząc napój, a łajac tych co się po niego z wozów ruszać nie chcieli.

W koszuli, fartuchu, z nogami bosemi w chodakach odartych, zabrukany, karczmarz był niezmiernie czynnym. Oka jego nic nie uszło, a wszyscy co się zatrzymywali pod wiechą jego, zdawali mu się być znajomi. Odzywał się wołając ich poufale po imieniu, naprędce dawał rady roztrucharzom, groził sprzedającym marchę, śmiał się z pijanych, a nie zapominał denary odbierać i wsypywać je do skórzanego worka, który mu wisiał u pasa.

Był to sławny Dzięgiel, człek, którego za rany i sińce wyświecono z miasta, znany gwałtownik. Przyjaciele i krewni jego wyrobili mu to, że choć w mieście się pokazywać nie

mógł, tuż pod niem jednak trzymał gospodę, na co przez szpary patrzano.

Dzięgiel już parę razy rzucił był okiem na podróżnego, który na przyźbie odpoczywał, a niczego od niego nie żądał.

Sądził że się domyśli w końcu siadłszy pod strzechą, zapłacić za gościnę, czy napojem czy jadłem.

Wprawdzie ostatniego u Dzięgla było dostać trudno, bo tu ludzie więcej pili niż jedli, ale chleb, ser i mleko było w komorze.

Podróżny zdawał się gospodarza nie widzieć wcale, albo na niego nie zważać. Dzięgiel miał już odejść skrzywiony, gdy w tej samej chwili konno od miasta nadciągnął wąsaty młodzian, z mieczykiem u pasa, wyglądający na miejskiego lub szlacheckiego sługę. Konia zatrzymał przed wieżą, pot otarł z czoła i pochylając się krzyknął.

– Dzięgiel! piwa! człowiek pod te gorąco beczkęby całą wychłął, gdyby mu ją nachylono.

Głos ten usłyszawszy podróżny, który w inną stronę miał zwróconą głowę, drgnął i począł się przybytemu przyglądać pilno.

Ten też spostrzegłszy go, zdawał się zdumiony, niepewny, jakby sobie w nim jakąś starą przypomniał znajomość, konia trochę naprzód podpędziwszy, rękę przyłożył do czoła i mruczeć coś zaczął.

Podróżny tymczasem z ławy wstał.

– Jak Bóg żyw – odezwał się po polsku, choć suknie miał niemieckie – toć Dryszek.

Ten posłyszawszy imię swe już ze szkapę się zsunął.

– Grześ Strzemińczyk! – krzyknął. – Żyw więc jesteś, a my cię tu już pogrzebali...

Podali sobie ręce.

– Choć w ostatnie czasy nie byliśmy przyjaciółmi – począł Dryszek – boś ty nas wszystkich swoją nauką zbłądził, a no miło mi, że cię żywym widzę! Kędyżes bywał... też to pięć lat temu...

– Pięć lat, które mi przeszły jako pięć dni – rozśmiał się Grześ. – Kędym bywał za długoby było opowiadać. Prędzej ty pono powiesz mi, jakeś z ławki szkolnej dostał się na konia i do miecza przypasał. Toż ci się bakałarzem albo seniorem być chciało.

Dryszek się skrzywił i ręką w powietrzu zamachnął. Ponieważ Dziegiel właśnie mu piwo podawał, nim się zebrał na odpowiedź, począł od wychylenia całego kubka tchem jednym; otarł wąsy rękawem, rzucił na dłoń nastawioną gospodarza pieniądze i zwrócił się dopiero do Grzesia.

– A no, prawda – rzekł – chciało mi się bakałarzem być, ale nauka do łba nie laża, ani węz. W końcu mi się wąs sypał i wolę Bożą czuć zacząłem, a do *quadrivium* nie mogłem się dobić. Tymczasem trafiła mi się bogatego sołtysa córka, dziewczka jak łania... wolałem ją niż *ciziojany*!! Komu co przeznaczono, nie minie. Gospodarzę przy ojczymie i drę z nim koty...

Ruszał ramionami i śmiał się.

– Teraz jak na papier spojrzę – dodał – ciarki po mnie chodzą, a jak wspomnę szkołę, albo mi się ona przyśni, tom na cały dzień zły i kwaśny... A ty? z czym powracasz!

– Ja? – odparł Grześ, pokazując mu węzełek pod strzechą leżący. – Ja wiozę pierwszego może Virgiliusza do Krakowa.

– Cóż to za kat ten Wirgi...nusz? – odparł Dryszek.

Grześ się rozśmiał.

– Wolę go niż twoją sołtysównę – rzekł wesoło. – Przez całe pięć lat uczyłem się a uczył wędrując. Poszedłem naprzód do Wrocławia, gdzie piwa prawda było pod dostatkiem, ale nauczycieli brakło, potem do Lipska. Było się i w Magdeburgu i w Norymberdze i dalej nad Renem aż po całych Niemcach... A co to za osobliwy świat, a jacy ludzie!! Było na co patrzeć i czego się uczyć.

– No i sakwy pełne mądrości przynosisz z sobą – dodał szydersko Dryszek – a groszy dużo?

– Prawie tyle – odezwał się ramionami poruszając obojętnie Grześ – co naówczas, gdyście mnie z Sanoka idącego spotkali...

Dryszek pogardliwą zrobił minę.

– Miałeś po co chodzić tak daleko – zamruczał – goliznę miałeś i w Krakowie.

– Alem tego rozumu, com go nabył między ludźmi, nie miał – rzekł Grześ.

– I cóż z nim robić myślisz! – wtrącił szydersko Dryszek, oglądając się ku swemu koniowi. – Pewnie na klechę kroisz? No, toby jeszcze było pół biedy, ale i ci panowie kolegiaci nasi, profesorowie i doktorowie, choć kapłani i mądrzy ludzie, chleba siła nie mają. Pójdź na ulicę św. Anny, a choćby i do większego kolegium, zobacz jak mieszkają i jedzą!! a jak pracują... Bóg

z wami, ja wolę sołtysią córkę i moje gospodarstwo.

– Jak co komu służy! – rzekł Grześ. —

Popatrzyli na się wzajemnie takimi oczyma, jakby sobie powiedzieć chcieli, że się pono nigdy nie rozumieją.

W tem Grześ żywo wtrącił.

– Żyw kanonik Wacław?

Dryszek się musiał namyślać nad odpowiedzią, bo mało co się troszczył o tych ludzi, którzy Grzesia najczęściej obchodzili.

– Hę? medyk? – spytał – a no! żyw! postarzał trochę, suwa nogami, ziele zawsze zbiera, ludzi morzy i leczy.

– A z Samkiem co się stało?

Samek też wyszedł pono był z pamięci Dryszkowi, bo długo się namyślał nim go sobie przypomniał.

– Ten już suknię kleszą nosi, ale mu święceń nie dają, bo nie umie co potrzeba – rzekł po chwili.

Kilku współuczniów wspomniawszy, o których Dryszek niewiele wiedział, Grześ się w końcu nieśmiało jakoś, wahając, odważył spytać o to co go najbardziej obchodziło.

– Cóż się z Balcerami dzieje?

Dryszkowi oczy błysnęły złośliwie.

– Hę? – zawołał – toż się był powinien naprzód o nich pytać? Balcerom twoim wiedzie się jak się wiodło, pobogacieli tylko jeszcze. Kamienic Niemczysko nakupował wiele i utył tak od świdnickiego piwa, że brzuch przed sobą ledwie dźwiga. Sama Balcerowa też nie schudła, a córeczka ich wyrosła na najpiękniejszą laleczkę w mieście. Ludzie do niej idą jak do

cudownego obrazu, bo prawda, że na podziw urodziwa, a mówią, że i rozumna. Przytem jedyna u rodziców i wszystkie kamienice Balcera spadną na nią, więc tam bodaj pan i szlachcic gotów w swaty.

Grześ smutnie i na pozór obojętnie słuchał tego opowiadania, Dryszek jedno oko przymrużywszy przypatrywał mu się. Zwrócił się potem oczyma ku niebu, aby się ze słońcem obrachować i wczas do domu dojechać.

– Jechać muszę – rzekł – a i wam też nim wrota pozamykają pospieszyć trzeba, aby na Kleparzu nie nocować... Radbym z wami gadał, ale gdy późno przyjadę, teść będzie łajał, a żonka posądzi, żem się z dziewczętami na Okółu zabawiał. Z nią sprawa nie osobliwa, wolę licha nie drażnić.

Zabierał się do siodła, rękę podawszy Grzesiowi.

– A cóżeś się tak z żoną szczęśliwym mienił – odparł Strzemińczyk, – gdy ci się jej i teścia obawiać trzeba?...

Dryszek zrobił minę dziwną.

– Niema chleba bez ości, niema ryby bez kości – odparł cicho. – Wolę już, żeby mi żona nałajała i teść nagroził, niżbym głodem miał mrzeć i głowę łamać nad pisanie.

Bywaj zdrów.

Tak się rozstali. Grześ powrócił na przyzbę i dobywszy chleba z serem po staremu, kazał do nich podać miarką cienkusz, którym wieczkę popił. Wziął potem tłumoczek na plecy, kij do ręki i żywo puścił się znaną już drogą ku miastu. Myślał teraz porównyując pierwsze swe przybycie do Krakowa i powrót do

niego po latach ośmiu, ważył i rachował co zyskał, a miał z tego powód być dumnym. Czuł, że czasu nie stracił i że jego węzełek, na który tak pogardliwie Dryszek spoglądał, więcej zawierał w sobie, niż to co tamten zyskał po dziewczynie w posagu... Przebył wiele, przemęczył się niemało... wśród obcych, ale plon mu za to nagrodził...

Teraz już mógł śmiało do Akademii się zapisać, a słuchać nauki wszelkiej, bo był przygotowanym i nauk tych świadomym. Bakałarzem, mistrzem, doktorem chciał być, a potem w kolegium zasiąść i młodzieży wykładać co mozolnie zdobył...

I suknię wdziać duchowną – myślał w duchu – a czoło mu się zachmurzyło... Piękna Lenka stanęła przed nim i świat żywy, cały, który duchownym był zamknięty.

Westchnął.

Tak, potrzeba było wybierać ze dwojga, mądrość albo życie, jeden z dwóch światów, klastrum nauki, albo teatr czynnego żywota... Od dawna już walka tych dwóch niezbytch i niepojednanych przeciwieństw duszę jego rozdzierała... a gdy śnił o tem, iż trzeba było jedno wybierać, w końcu odtrącał oboje, bo zawsze po czymś płakaćby przyszło...

– Czasu mam dosyć – mówił sobie – Bóg wskaże co czynić. Wiódł mnie dotąd... natchnie w chwili stanowczej...

Już na pacierze wieczorne dzwoniono do miasta, gdy Grześ przebywszy wrota, wszedł w ulicę, a widok tych miejsc znanych, zianych pamiątkami tyłą, rozweselił go...

Wracały mu żywo spędzone tu lata.

Ale napróżno zwracał oczy ciekawe ku ludziom, których spotykał, twarzy znajomych nie było... Nikt go tu nie witał, spoglądano jak na obcego. Na Floryańskiej, Niemiec stojący przed domem, zobaczywszy go i po stroju domyślając się wędrownego współziomka, zagadnął go swym językiem.

Grześ był z nim przez tych lat pięć oswojony i z mowy Polaka w nim poznać nie było podobna. Odpowiedział niemczyzną taką, iż mu mieszczanin rękę podając, do gospody do siebie zapraszał.

W istocie potrzebował jej choćby na noc jedną. Do Balcerów się wpraszać znowu nie chciał, choć mu ich widzieć pilno było. Przyjął więc ofiarę pana Kurta pasamannika, który go do izby wprowadził, ani wątpiąc, iż ziomka ma przed sobą. Strzemieńczyk też nie sądził potrzebnem wydawać się z tem, kim był i na zapytania tak zręcznie odpowiadał, iż się nie zdradził.

Ponieważ odzież i postawa nie dozwalały się domyślać, iż studentem był, wzięto go za czeladnika od cechu jakiegoś i rzemiosła.

Nie mógł zostawić w tym błędzie gospodarza Grześ i przyznał mu się, że na naukę do akademii przybywał.

Nie było to już rzadkością w Krakowie podówczas, że cudzoziemcy tu do młodej macierzy się ściągali. Węgrów, Czechów i Niemców nawet schodziło się wielu, a szkoła Jagiellońska zażywała w świecie sławy niemniejszej od najstarszych sióstr swoich...

Objawiało się też tu w tych czasach pierwszych, zwłaszcza w teologicznem kolegium, życie wielkie, gorące, młodzieńcze,

czego najlepszym dowodem był zastęp uczniów liczny już ze świętobliwości swej i nauki, z żywota ofiarnego, ascetycznego, apostołskiego, dających się poznawać.

Nie zdziwił się więc pasamannik Niemcowi, który tu przyszedł po mądrość, chociaż wydało mu się to osobliwem, iż z tak daleka się przywłókł...

Z tą gościnnością chrześcijańską, która była wszędzie naówczas obowiązkiem i obyczajem, dano Grzesiowi posiłek i legowisko... Rozповідаł im za to o dalekich krajach i o miastach, za którymi tęsknili.

Nazajutrz rano, tłumoczek swój dosyć ciężki, bo w nim papier ważył nad wszystko zostawiwszy, przebrawszy się Grześ pospieszył na przód do kościoła św. Anny.

Tu już między studentami, po leciech pięciu, ani jednej znanej nie znalazł twarzy, bo dziatwa powyrastała i zmieniała się, a starsi w świat poszli. Kościół za to pozostał niezmienny, jak gdyby Grześ z niego wyszedł wczora...

W progu zawahał się. Serce go ciągnęło do Balcerów, a strach jakiś odganiał. Poszedł do kanonika Wacława... Gdy zapukawszy do drzwi, wsunął się na próg, staruszek siedzący w krześle nad ogromną księgą, podniósł oczy zmęczone, wpatrzył się w niego, i nie poznał.

Był-li temu winien uczeń, co się tak odmienił, czy źrenice, które tak osłabły?...

Dopiero gdy do pocałowania ręki przybliżył się Grześ, odezawszy ze zwykłem – *Laudetur*, kanonik na obu poręczach

się oparłszy, uradowany porwał się na nogi...

– Grześ! – zawołał – Bogu wielkiemu niech będą dzięki... Cały! żyw! a zmężniałeś? a rozumu-żeś nabył? a nauki przyspożyłeś?

Starcowi głos mienił się łzawo...

Wzrok miał osłabły, a chciał się przypatrzeć chłopcu, więc go przyciągnął ku sobie i z pociechą przyglądał się męskiej jego twarzy, a z ust wyrzywały mu się pytania, na które nie doczekawszy się odpowiedzi, zarzucał go nowemi.

Strzemieńczyk, któremu w sercu po przywitaniu z kanonikiem zrobiło się ciepło, rozgadał się swobodnie, a o pięcioletniej podróży zaprawdę było co mówić.

Przypatrywał się wszystkiemu. Choć języki i poezya, zwłaszcza starożytne najwięcej go ku sobie pociągały, niemniej też śledził i badał co uczono z historyi natury... Była to na nieszczęście nauka w kolebce, nie wchodząca w programy i Grześ tylko spotykając się z lekarzami, mógł mało-co zdobyć wiadomości, które się ograniczały do odgrzebanych z pisarzy starożytnych. Z tych zaś łacinnicy tylko byli przystępni znaczniejszej części uczonych, bo język grecki zaczynał dopiero poznawanym być lepiej i o Grekach wiedziano tyle, co się przez łacinników o nich dowiedzieć było można.

Kanonik zaś nietyle teologią i historią, poezją i retoryką się zaprzątał, co rzeczami nauk przyrodzonych tyczącemi. Był to, jak dawniej ich zwano, człowiek ciekaw natury, (*naturae curiosus*) w całym znaczeniu tego wyrazu.

Grześ też miał skłonność badać te tajemnice, ale dla niego kluczem do nich była nauka języków, bo razem z wielu swojego czasu ludźmi, pojmował, że naprzód należało przyswoić to sobie, co ludzkość od wieków zdobyła, aby iść dalej na drodze odkryć i postępu.

– Cóż teraz myślisz z sobą czynić? – zapytał w końcu ks. Wacław, ciągle się w ucznia wpatrując.

– Ojcie kochany – rzekł Grześ wahając się – zpełna nie wiem, co uczynię. Poproszę Boga o natchnienie, jaką mam pójść drogą, to pewna, że się uczyć chcę, że się w naszej akademii rozszłucham i rozpatrzę i dobijając się będę bakałarstwa a bodaj biretu, jeżeli siły starczą.

– Tak, tak, nie może być innem przeznaczenie twoje – rzekł ks. Wacław – musisz przywdziać suknię naszą i będziesz filarem kiedyś tej Jagiellońskiej szkoły, która światu zaświeci blaskiem wielkim.

Nauka, kto z nią raz ślub wziął, staje mu się wierną do zgonu życia towarzyszką.

Zbyt jeszcze młoda krew płynęła w żyłach chłopaka, aby mógł zupełnie wyrzec się świata, zamilkł więc, ani przecząc, ni potakując.

Kanonik rozpytywał ciągle o niemieckie miasta i szkoły, o lekarzy, o zioła, o zwierzęta osobliwe, jakie mógł widzieć lub słyszeć o nich w podróży. Lecz, pomimo ciekawości swej, mało co z tego przynosił, co ks. Wacławowi pożądanem było.

Miał za to Wirgilego, Owidyusza i Statiusza w tłumaczu,

k którzy uczonego lekarza mało obchodzili, choć w średnich wiekach Wirgiliusz uchodził za czarnoksiężnika i świadomego wielkich arkanów natury.

Chwilę długą przebywszy z staruszką, ruszył się w końcu Grześ, żegnając go, aby, jak mówił, pomieszczenia sobie szukać w mieście.

Była już naówczas, obyczajem w innych akademiach zwykłym, bursa Isnera, zwana ubogich, lub królewską Jagiellońską, przy Wiślniej ulicy, o której pomyślał ks. Wacław, czyby w niej Grzesia nie umieścić, ale ta podczas, jak prawie zawsze, przepelnioną była, a Strzemieńczyk też nadzieję miał, nikomu nie będąc ciężarem, przepisywaniem sobie zarabiać na życie.

Kunszt ten, z którym już na wędrowną się puścił, w czasie niej doprowadził do takiej doskonałości, iż śmiało mógł z najpierwszymi kaligrafami ozdobnością pisma iść o lepsze.

Tak samo w muzyce uczynił postępy wielkie, a że pamięć miał nadzwyczajną, więc pieśni kościelnych, sekwencyj, hymnów, równie jak łacińskich i niemieckich piosenek wesołej treści, zapas z sobą wielki przynosił. Gra na cytrze i głos, który z wiekiem się zmienił, ale na brzmieniu nie stracił, czyniły go na owe czasy muzykiem niepoślednim. Na organach też umiał sobie towarzyszyć. Z temi wszystkimi talentami, umysłem żywym i bystrym, odwagą i powierzchownością ujmującą, ubogi szlachetka, któremu i pochodzenie ułatwiało zdobycie miejsca między ludźmi, mógłże zwątpić o sobie?...

Wyszedłszy od kanonika, który żądał, aby rychło do niego powrócił, bo mu chciał miejsce znaleźć przy sobie i izdebkę wyprosić w domu, który zajmował, Grześ miał postanowienie udać się do Balcerów...

Dlaczego obawa jakaś, dziwne uczucie nieśmiałości, przeczucie zawodu, wstrzymywało go, nie mógł sobie wytłumaczyć.

Szedł i zwalniał kroku, zatrzymywał się, cofał.

Co tam miał zastać po latach pięciu? Dawną towarzyszkę zabaw, którą siostrzyczką nazywał, wypięknioną, dumną, zmienioną? Dryszek mu o niej mówił, że ludzie za nią biegali, aby na piękność jej popatrzeć!

Grześ może, sam o tem nie wiedząc, obawiał się, aby nowa Lenchen, którą miał ujrzeć, nie odebrała mu, nie zatarła miłego wspomnienia tamtej, którą kochał i z jej obrazem w duszy całe te pięć lat przechodził po świecie.

Zwlekał tak z odwiedzeniem Balcerów, że już ku wieczorowi było, gdy się na mężtwo zebrał i skierował ku ich domowi...

Zdała widział dom, wcale niezmieniony, taki jakim był, gdy po cichu, rankiem wymknął się z niego. Lecz w ulicy i przy domu działo się coś, czego Grześ nie mogąc zrazu zrozumieć, wstrzymał się na chwilę. Na progach wszystkich dworów, w oknach, na drodze pełno było ludu, w powietrzu śmiechu i radości pełno.

Zdała dochodziły brząkania gęśli, pisk fujarek, bicie w bębenki, okrzyki jakieś i rąk klaskanie.

Oprócz tłumu ciekawych, który napełniał ulicę i chodniki, wśród niego dostrzegł orszak postrojonych mieszczan, niewiast w bogatych czółkach, jupkach, zasłonach i mężczyzn w czapkach paradnych, płaszczach bramowanych, butach spiczastych...

Ogniskiem ruchu, miejscem, ku któremu wszystko się to ścierało i skupiało, Grześ nie mógł się omylić, był dworek Balcerów...

Uderzyło go to i pobladł. Domyśleć się było łatwo, iż nic się tam innego tak wesołego odbywać nie mogło, chyba zaręczyny albo wesele, nie czyje inne jak Leny.

Była jedynaczką, a na tak uroczyste i kosztowne zrękowiny lub ślub, mógł się zebrać chyba człowiek tak bogaty jak Balcer.

Stary to zwyczaj był szlachecki równie jak mieszczański, iż wesele musiało być jak najwspanialsze i trwać jak najdłużej. Ci co nie dawali wiana za dziećmi, zmagali się na to, aby dzień ten uroczysty uczynić dla nich pamiętnym.

Musiało już naówczas prawo zapobiegać, aby się na bankiety zbyt ludne, na półmiski zbyt liczne, na trefnisiów nadto kosztownych nie rujnowano.

Wesele Lenchen!! I trzeba było aby los właśnie Grzesia sprowadził tego dnia i godziny, gdy się ono odbywało?

Staął z rękami załamanymi biedny, a głos wewnętrzny mówił w nim.

– Tak chciał los twój, aby ci wskazał drogę i przeznaczenie!!
Choć się nie przyznawał do tego sam sobie, Strzemieńczyk

żywił jakąś nadzieję, że Lenka o nim będzie pamiętać, że może...

Byłby, któż wie? w zapale pierwszym wyrzekł się dla niej nauki, zdobywszy jakie już zyskał i przyszłości...

Wszakże Dryszek tak poświęcił wszystko dla sołtysówny??

Uśmiechnął się smutnie. W jego życiu wszystko było jakby zawczasu wyznaczonem dla niego, potęga jakaś wskazywała mu drogę, którą on iść musiał. Opierać się jej nie mógł...

Podniósł oczy i patrząc zdala na wesoły tłum oblegający dworek... wśród którego osób nie można było rozeznaczyć, ważył czy powinien zejść na wesele, czy uciec od niego?

Lecz po co było uciekać? Wszakże zapomniano tam o nim i nikomu serce się nie krajało z tęsknoty. Lenchen nauczyciela i towarzysza nie pamiętała wcale... A on?... Miał być słabszym od nich i jak dziecko płakać straconej zabawki?

Miał ważniejszy cel w życiu...

Tak myśląc Grześ powolnym krokiem zbliżać się począł do dworku Balcerów, powtarzając sobie, iż było cudem bożym, zesłanie go w tym dniu i godzinie, aby pękł ostatni węzeł, co mu nie dozwalał powołania usłuchać...

– Suknia klesza! cela klasztorna! samotne życie do zgonu, to przeznaczenie moje.

Szedł coraz większego śmiałka udając ku dworkowi, a choć gorzko mu było w duszy, jakby piołunem zapłynęła, postanowił być wesołym. Zdawało mu się to powinnością.

– Grać im będę i śpiewać i śmiać się jakbym był

najszczęśliwszym – mówił w duchu – inaczej po co iść do nich?

Do progu dworku trudno się było docisnąć, wielka część gości stała na ganku i w sieni, a ztąd widać było stoły zastawione, nawet na podwórku wewnętrznym, które oczyszczono i zielem pachnącem posypano. U progu stała muzyka przygrywając piskliwie i dziwacznie, ale jej też nikt nie słuchał, bo podochoceni już goście nucili i rozmawiali głośno.

Grzesia, który na ten dzień dostatnio z niemiecka był przyodziany i pięknie wyglądał, nie poznawał nikt...

Patrzano na niego dorozumiewając się przybysza... Balcer, Balcerowa i panna młoda byli wewnątrz domu. Jedna stara sługa, co niegdyś się nim opiekowała, gdy był studentem, niosąc cynowy półmisek, jak obejrzała się przypadkiem, zobaczyła go, osłupiała z podziwienia, krzyknęła i z rąk jej wypadła cyna i ryba, która na niej była...

Nadbiegła na brzek i szczęk Balcerowa, nie wiedząc co się stało... i ta poznała zaraz Grzesia... Pobladła, zaniemiała, ale po krótkiej chwili oprzytomniawszy zbliżyła się do niego...

Strzemieńczyk tymczasem robił co mógł, aby twarz okazać wesołą.

Złożyło się tak, iż nim mieszczka mogła się docisnąć do tego tak niespodziewanego, a może i niepożądanego gościa, Lena, którą mąż prowadził do stołu na miejsce jej przeznaczone, ukazała się we drzwiach na chwilę.

Wzrok jej pobiegł ku matce, pobladła i krzyknęła... Zrobił się popłoch, bo nikt przyczyny nie mógł odgadnąć, czego się pani

młoda strwożyła... Przypisywano gorącu i zmęczeniu, że na poły omdlała, matka i pan młody ledwie od upadku uratowali.

Grześ, choć nie widział nic oprócz jej twarzy, zmienionej bardzo, wypiękniałej a smutnej, poznał ją na pierwsze wejrzenie.

Cudownie była wdzięczną i śliczną jak anioł, a ubiór bogaty, rąbki białe, klejnoty, które okryta była, podnosiły urok twarzyczki, wśród mnóstwa ładnych, świeżych i młodych, wyróżniając się czystością rysów i szlachetnym ich wyrazem.

Obok niej domyślił się Grześ w młodym, rumianym, po swojemu też pięknym chłopaku, którego młodość i zdrowie, a jakaś dobroduszość twarzy wesołej i pocziwej, czyniły dosyć miłym, przyszłego męża Leny.

Był to syn bogatego kupca z Nissy na Szlązku, którego Frączkiem po imieniu zwano...

Omdlenie panny młodej i zamieszanie, którego ono było przyczyną, nie trwało długo. Ponieważ przy weselach na wszystko zważano, a każda najmniej znacząca przygoda zabobonnie się wydawała przepowiednią przyszłego pożycia małżonków, matka podbiegła do córki, szepnęła jej coś do ucha i po chwili Frączek już wiódł przychodzącą do siebie Lenę.

Podnosząc się rzuciła okiem ku drzwiom, wzrok jej spotkał się z Grzesia wejrzeniem, uśmiechnęła mu się smutnie.

Matka teraz przecisnęła się przez zastęp gości i zbliżyła do stojącego u progu, z tak przymuszonym uśmiechem jak córka.

Witała Grzesia serdecznie, ale na twarzy jej malował się frasunek.

– Chodźcież bliżej – rzekła wprowadzając go do środka. – Dziwnie się wybrał dzień powrotu waszego...

Wiecież? myśmy tu was już za zginionego mieli. Chodziły wieści różne. Zapewniano nas, że nieszczęście was spotkało...

Lena nauczyciela swego opłakała... Wszak ci to pięć lat!!

Otyły Balcer, który od gorąca, paradnego stroju i zmęczenia, cały był jakby z łaźni, wyszedł czerwony i mokry, szedł także witać Grzesia, nie tak zdziwiony i poruszony jak inni...

Student tymczasem ze wszech sił swych starał się okazać bardzo wesołym... Śmiał się głośno umyślnie, żartować poczynił i udawał takiego lekkoducha włóczęgę, jakim nigdy nie był.

Ponieważ towarzystwo weselne po większej części się z Niemców składało, Grześ musiał ich języka używać, lecz tak nim władał teraz, że mu wierzyć nie chciano, gdy się Polakiem opowiadał.

– Co dziwnego – wołał do Niemców otaczających – byłbym niezdara, gdybym pięć lat po Niemczech się włóczęg, ich mowy sobie nie przyswoił.

Bez przymówki do was, mości panowie, co tu w Krakowie po lat dwadzieścia siedzicie, a polskiego języka mało znacie...

Nierychło po tych pierwszych szarmydlach, ze drzwi Balcerowa podprowadziła Grzesia do pani młodej, aby się też z nią bliżej przywitał i z Frączkiem zapoznał.

Lena go oczyma oddawna ścigała, a gdy podszedł, wyciągnęła rękę do niego, do męża się odzywając.

– To mój nauczyciel, o którym wam rozповідаłam, patrzcie abyście sobie przyjaciółmi byli dobrzy.

Frączek też, chłop serdeczny, wstał Grzesia uściskać bez zazdrości najmniejszej, z uśmiechem pocziwym i wyraził to zprosta, jak się cieszy, iż na wesele Pan Bóg mu dał gościa tak miłego jego żonie.

– Bóg widzi – odezwał się Grześ, ciągle wesołość udając – że czyste losu zrządzenie mnie tu przyniosło, cudem prawie. Wszakże w ulicę wchodząc o weselu wcale nie wiedziałem, a Dryszek, którego wczoraj spotkałem na drodze, chciałem go o państwa Balcerów pytać, nic mi o tem nie wspomniał.

Balcerowa posadziła zaraz Grzesia pomiędzy młodzieżą, nieopodal, dobre dając mu miejsce, z którego się pani młodej mógł przypatrywać.

Siedziała smutna, ale to wiadoma rzecz, iż mężatka młoda na weselu swem zbytnej radości okazywać nie powinna. Nie uderzało więc to nikogo. Frączek za to, jakby go na sto koni wsadził, śmiał się, żartował, nalewał, a trefnisiom, co się do nich zbliżali, pieniądze garścią sypał do nastawionych kołpaczków...

Towarzystwo składało się przeważnie z mieszczan, kupców i Niemców, chociaż duchownych i klechów także się w niem kilku znajdowało... Ci, dowiedziawszy się kto był Strzemieńczyk i przypomniawszy co tu o nim rozpowiadano, zaraz do niego przylgnęli... A że wina i miodu w bród było i w głowach wesołe myśli krążyły, ku końcowi uczty, przypomniano sobie śpiew Grzesia i głos jego...

Nuż go tedy prosić i oblegać o piosenkę... Cytra się znalazła pod ręką, wetknięto mu ją gwałtem prawie. Stara Balcerowa, gospodarz, pani młoda i jej mąż tak usilnie nalegali, że choć może śpiewać mu się nie chciało, uległ prośbom...

Nakazano milczenie trefnisiom i muzyce, a Grześ palcami po strunach przebierając począł od niemieckiej piosnki.

Wybierał ją długo w myśli, bo miał z czego, nie chciał smutnej, nie mógł wesołej, zaśpiewał więc obojętną o siedmiu życzeniach :

Hält ich siben Wunsch in meiner Gwalt...

Znali ją wszyscy, ale głos Grzesia, nawet dla tych co go dawniej słyszeli srebrnym, dziecięcym, słodkim, zabrzmiał tak, iż najdalsi biesiadnicy porwali się z ław, biegnąc bliżej, aby go lepiej posłyszeć.

Rozległ się z taką siłą, z takim dźwiękiem, iż nawet ci, co w początku sobie lekceważyli ten popis, zamilkli osłupieli...

Nikt tu, jak żyw takiego śpiewu nie słyszał nigdy; wprawnego, śmiałego, długiem doświadczeniem uczynionego posłusznem narzędziem pana...

Pieśń nie zdawała się nic kosztować tego, co ją nucił, przychodziła mu łatwo, bez wysiłku, jak ptakowi na gałęzi.

Gdy skończył swych życzeń siedm, pomiędzy którymi była i miłość pięknej kobiety, ale wciśnięta między takie pospolite

życia potrzeby, że jej tam wstyd mieścić się było, niewiele zważając na słowa, podziwiali wszyscy śpiew cudowny.

Biesiadnicy byli podochoceni, pieśń chłodna nie dość się im zdała do serca przypadać. Nalegano na jedną z tych niemieckich pieśni miłosnych, któreby do śmiechu i do rumieńców pobudziły... Grześ uległ, ale wybrał skromną i smutną, śpiewał ją z oczyma spuszczone na cytrę i choć głos chwalono, żądano czegoś śmielszego od wędrownego studenta...

Oparł się temu.

– Wesolej chcecie, to wam zaśpiewam naszą, szkolną, studencką... ale po łacinie... Pochwycił kubek z winem, oczy mu dziko zaświeciły, usta gwałtem zmusił do jakiegoś uśmiechu rozpaczliwego, struny szarpnął silnie i... silnym począł głosem:

Vinum bonum et suave,
Bonis bonum, pravis prave...
Cunctis dulcis sapor, ave!
Mundana laetitia!

Choć nie wszyscy rozumieli, wesola, szalona nuta starczyła za słowa, wszyscy poczęli wtórować Grzesiowi, tupiąc w takt nogami i bijąc o cynowe misy...

Wtem nagle, jakby wysilek ten był nad moc jego, student wypuścił z rąk cytrę, kubek napełniony wychylił do dna duszkiem i powstał.

Twarz mu pobladła i zmieniała się, udawaną radością się zadławił.

Poruszył się z ławy, chcąc wynieść, tłumacząc nużącą podróżą, skwarem i potrzebą spoczynku...

Nie śmiano nalegać. Grześ po chwili wysunął się niepostrzeżenie, rzucił zdala wejrzeniem tęsknem ku pannie młodej, jakby ją żegnał, wmieszał w tłum chodzących około stołu gości i wśród nich zniknął tak, że nie wiadano kiedy wysliznął się z domku Balcerów.

Tymczasem wesele z muzyką i płasami, do białego dnia trwało...

V

W tych czasach, gdy Grześ przybył do Krakowa, w młodej akademii sławił się starszy od niego wiele, ale rozkwitający do życia Ambroży Boner...

W dwudziestu kilku latach zdobył sobie pierwszy laur akademicki i gdy inni rówieśnicy jego uczyli się jeszcze, on już pisał komentarze nad Piotrem Lombardem.

Dziecię zamożnej rodziny, mógł się spodziewać, okazawszy chęć obleczenia sukni zakonnej, najwyższych dostojęństw w kościele. Prorokowano mu nadzwyczajną przyszłość. Świecił jak dyament, nie tylko pomiędzy młodszymi, ale w gronie starych teologów...

Radzili się go doktorowie, podziwiali łatwość argumentowania, dyalektykę, i styl piękny wszyscy owych czasów styliści...

Z nauką, młodością swą, stosunkami rodziny, mógł sobie prędko obiecywać infułę, a nikt nie wątpił, że ona go czeka.

Lecz świetny ten początek całe co innego wróżył, dwudziestokilkoletni księżyna, nagle zamknął się na Kazimierzu w klasztorze ks. Augustyanów Eremitów, u św. Katarzyny, przywdział habit, odbył nowicyat i objawił niezłomną chęć poświęcenia reszty życia na chwałę Bogu i usługę biednych ludzi

Cudowny młodzian, który w zakonie nosił imię Izajasza, stał się jednym z tych mnichów, jakich tylko stare dzieje pierwotnych

wieków znały.

Posty, modlitwy, włosiennica, nocne nabożeństwa, odwiedzanie chorych, grzebanie umarłych, posługa ubogim, pochłoneły całego... W chwilach odpoczynku zatapiał się w ascetycznych księgach... Z tego życia, którego celem było zapanowanie nad sobą i osiągnięcie chrześcijańskiej doskonałości, nic go wyrwać nie mogło...

Uczony młodzian, którego umysł bystry i erudycja cudownie nabyta, zawstydzali mądrych profesorów, posiwiających nad księgami, nie znalazł u Augustyanów ludzi, coby go ocenić umieli, przecież z pokorą wielką korzył się przed przełożonymi, rozumem i wolą... Był to wzór zakonnika i naówczas już widziano w nim za żywota ubłogosławionego...

Grześ w czasie pierwszego pobytu w Krakowie, gdy Izajasz zwał się Ambrożym i był jeszcze świeckim kapłanem, widywał go i miał u niego łaskę.

Boner cenił żywy umysł chłopaka, pojęcie łatwe i posługiwał się nim do przepisywania.

Od tego czasu lat upłynęło kilka, Boner się zamknął w klasztorze...

Grześ powróciwszy nie słyszał o nim jeszcze, choć w całym Krakowie za wzór świątobliwości go wskazywano.

Zaraz nazajutrz po weselu, gdy przechodził ulicą zadumany, ten traf, który w życiu Strzemieńczyka, grał tak opatrzną rolę, nastreczył mu... Izajasza, który od grobu świętego Stanisława do swego klasztoru powracał. Miał on do świętego męczennika

szczególne nabożeństwo.

Pod tą suknią nową nie byłby go Grześ poznał pewnie, zwłaszcza że i twarz, niedawno rumiana i świeża młodego Izajasza, umartwieniami, postem, dobrowolnemi męczeństwem, nadzwyczaj zmienioną była.

Błady, z policzkami zapadłemi, w starym habicie wytartym, bosi, z nogami poranionemi, nie zwrócił nawet na siebie uwagi zamyślonego studenta, który pogrążony był od wczora w smutnych jakichś dumaniach o przyszłości, walcząc z sobą i wahając się jeszcze, co pocźnie, ale Boner z tem jasnowidzeniem dusz wybranych, które szukają wszędzie boleści, aby ją pocieszać, wątpliwości, by ją rozjaśniać, przypomniał go sobie, wyczytał w twarzy jego utrapienie, przystąpił do niego i pozdrowił.

Grześ nie mógł go sobie przypomnieć. Głos i twarz były mu znane, ale człowiek wydawał się obcym.

Mnich położył mu ręką na ramieniu i uśmiechając się łagodnie, szepnął, iż był tym, dla którego on przepisywał niegdyś wyjątki Boecyusza...

Strzemieńczyk teraz dopiero poznał go i zawołał zdziwiony.

– Ale cóż z wami się stało?... ta suknia?...

– Dała mi spokój, dobiłem do portu... jestem szczęśliwym – rzekł uśmiechając się Boner. – Dwu panom służyć nie można, wybrałem więc tego, ku któremu wielka mnie miłość ciągnęła... baranka skrwawionego na krzyżu...

Z zazdrością prawie i poszanowaniem skłonił przed nim

głowę Grześ i westchnął.

– Widzę z twego oblicza smutnego – dodał ojciec Izajasz – żeś... na rozdrożu, a w niepewności dusza twoja... Chodź ze mną, zwier mi się, ażali nie przemówi przez niegodne usta Duch święty, może ci pociechę dam, a przynajmniej zaboję z tobą...

Szli tak razem ku klasztorowi św. Katarzyny na Kaźmierz, a Grześ powoli opowiadał o swych wędrówkach.

Choć się ze stanu duszy swej nie zwierzał przed Izajaszem, łatwo mu było z samej powieści go odgadnąć. Milczał mnich nie przerywając... Razem weszli do celi mnicha.

O. Izajasz z umysłu zajmował i wyprosił sobie najnędnieszą, ciemną, wilgotną, małą, a spojrzenie na nią malowało człowieka, który na świecie żył jeszcze, lecz już nie dla świata.

Nie było tu ani łoża, ani pościeli, bo asceta sypiał kilka godzin zaledwie, krzyżem leżąc na podłodze.

W kącie stał klęcznik twardy, a około niego zaschłej krwi krople rozprysłe, świadczące o biczowaniu... Krzyż i trupia głowa koronowały go...

Było to schronienie męczennika...

Z wesołą twarzą wprowadziwszy go, mnich zwrócił się do Grzesia...

– Tu szczęście moje! – zawołał – nie ma go gdzieindziej!

Trwoga jakaś ogarniała studenta, który stał zaniemiały...

– Mów jako przed bratem, co cię boli – dodał zakonnik.

– Znacie trochę żywota mojego – począł Grześ. – Uszedłem z domu rodzicielskiego dla nauki, bom do niej czuł popęd wielki,

dla niej o głodzie i chłodzie włożyłem się po świecie. Nie jestem syt, nie wszystka nauka słodką mi się wydaje... Powróciłem w rozterce z sobą samym.

Mam-li wdziac suknię duchowną, czy w życiu czynnem, do którego pochop też czuję, starać się służyć ludziom i Bogu?

Co czynić? co przedsiębrać? nie wiem. Świat mi się uśmiecha jeszcze, nie mam siły się go wyrzec, a potęga jakaś z góry zdaje się mnie popychać na inną drogę...

Wy, ojcie szczęśliwi jesteście, bo głos, który mówił do was, inne zagłuszył, a ja...

Izajasz słuchając go, stał z rękami złożonemi do modlitwy i zdawał się więcej może modlić, niż słuchać go, prosić o natchnienie z góry...

– Cóżeś przyniósł z tej wędrówki po obczyźnie? – spytał łagodnie...

– Ten sam niepokój z jakim wyszedłem ztąd, wątpliwości wielkie, niepewność wszystkiego, do czego się dobijałem tak usilnie. W tej mądrości ludzkiej, którą zdobyć pragnąłem, zaledwie kielich jej ust moich dotknął, ambrozja się w żółć zmieniała. Co zdala jaśniało mi, zbliżka wydaje się nikczemnem... Gdzieś się spodziewałem ziarna, pustą znalazłem łupinę...

Izajasz milczał.

– Uczyć się pragnę zawsze, lecz są chwile, w których nauka wstrętną mi jest, bo ją czuję zawodną. Mam-li wdziac suknię duchowną??

Mnich dumął, dał znak ręką i poszedł do klęcznika, padł na kolana, złożył dłonie, pochylił głowę i zatopił się w modlitwie.

Grześ stał patrząc nań z podziwieniem i trwogą.

Na tej rozmowie z Bogiem, Izajasz zdawał się o nim zapominać, nareszcie powstał zwolna... Spojrzał na oczekującego miłosiernie...

– Nie spiesz z tem – rzekł – co powinno być dziełem przekonania i natchnienia. Walczą w tobie nieukołysane żywioły, a walka ta, jak każda w życiu, może być płodną. Ale w tym ducha stanie, do bozkich ołtarzy przybliżać się nie godzi. Pomnij, że pierwsi chrześcijanie katechumenami długo stać musieli po za zgromadzeniem wiernych, niżeli do agapów byli przypuszczeni...

Lepiej jest nie wchodzić tam, zkąd wyjść się nie godzi, niż wnieść ze sobą, nie już zgorszenie, ale wątpliwość. Wzrok twój mgła ziemską jeszcze zaciemnia, nie widzisz jasno, módl się i pracuj...

Gdy człowiek jest bezsilny, naówczas, na godnego pomocy, spływa łaska... z łaską spokój ducha, a z nią spadają z oczów łuski...

Nie, nie kwap się! – powtórzył Izajasz.

Grześ odetchnął swobodniej.

– Widzisz – dodał Boner – sam kapłan i zakonnik, nie ciągnę cię do tego, co dla mnie portem jest i szczęśliwością, albowiem wyzuć się trzeba ze starego człowieka, aby nowym być, a w tobie kipi krew i bije serce...

– Skazany więc jestem – przerwał Grześ smutnie.

– Na walkę, jak wszyscy ludzie – odparł Boner. – Jedni z nich przez klasztor idą do nieba, inni przez świata drogi cierniste... I purpura bywa włosiennicą i korona cierniem bywa... Różnie powołuje Bóg i sobie służyć każe...

Jak mądre dziewice, czekaj z lampą zapaloną, patrząc aby ci ona nie zagaśła...

Strzemieńczyk zbliżył się wzruszony i w rękę go pocałował. Boner zamilkł.

– Pozostaniesz w Krakowie? – zapytał po chwili.

– Sprzykrzyły mi się wędrówki – odparł Grześ – chcę słuchać nauk w akademii naszej i jej służyć...

Pozwolicie ojcze, abym w godzinach zwątpienia i utrapienia, o pociechę i pomoc was prosił?...

– Widzisz – rzekł Boner – żem sam pierwszy zwrócił się do was. Jako służę wszystkim, tak i tobie, radą a pocieszeniem chcę służyć. Idź z Bogiem w pokój...

Uścisnął go zakonnik okazując mu jakby miłosierdzie wielkie, w czym Strzemieńczyk, choć widział pewną pociechę, czuł też przepowiednię ciężkich walk, jakie go na świecie czekały, a które błogosławiony mnich przeczuwał wcześniej...

Pokrzepiony wszakże radą tą i umocniony w postanowieniu czekania, aby się powołanie do stanu duchownego silniej w nim objawiło, wyszedł Grześ z klasztoru i powrócił do miasta...

Zostawało mu wiele do czynienia, a naprzód samo opatrzenie mieszkania, gdyż ks. Wacławowi ciężarem być nie chciał.

W tych myślach na rynek krakowski wchodził, gdy jednego z współbiesiadników wczorajszych, dawniej też sobie znajomego syna kupieckiego, którego Gąską zwano, ujrzał w wesołym humorze, kroczącego ku Sukiennicom.

Poznał go zdala Gąska i stanął...

Z wczorajszego wesela i biesiady jeszcze mu coś dobrej myśli pozostało. Począł wabić ku sobie studenta.

– Toście wczoraj nam z pola zbiegli niedotrzymawszy placu – rzekł wesoło. – Szukano was nadaremnie...

– Ani się dziwcie temu – odparł Grześ – com miał smutny i znużony robić między wesołymi?

– Bylibyśmy cię upoiли i rozochocili?

– Albo ja was otrzeźwił i zasmucił. Trosk mam dosyć i do czynienia wiele...

– Ktoby temu wierzył! – rozśmiał się Gąska – albośmy to cię dawniej nie znali, żeście umieli podołać wszystkiemu, tak i dziś... Nie darmo macie głowę na karku...

– I głowa nie pomoże wiele, gdy rąk niema za co zaczepić – smutnie odezwał się Grześ.

– No, mówcież jaśniej, czym się tak frasujecie?

Strzemieńczyk z prawdziwej troski mu się spowiadać nie chciał, człowiek był nadto lekki, aby go zrozumiał, więc tłumacząc się od niechcienia, rzekł, że nawet gospody sobie nie znalazł jeszcze...

– Tak-że mów – przerwał Gąska – i chodź ze mną... Wicie lub nie, zem po ojcu dom odziedziczył przy Grodzkiej, żyję

w nim sam z matką, izb dosyć próżno stoi... Wybierzecie sobie jaką zechcecie...

– Najmiecie mi ją?

– Dam lub najmę, jak wola – odezwał się Gąska. – Wiem to, że wy pisać musicie, a do pisma światła potrzeba, nad gankiem izdebka jest, wschodki do niej nieosobliwe, ale nogi masz młode...

– Chodźmy – rzekł Grześ.

Tak się mieszkanie znalazło rychło. Komora była prawie próżna, a służyła dotąd tylko znajomym gościom do Krakowa przybywającym.

Gąska nie żądał za nią wiele i dodał śmiejąc się, iż Grześ za komorne czasem mu pieśń zaśpiewa...

Zeszli potem na dół do staruszki matki Gąski, która w swej izbie siedziała, niebardzo się już poruszać mogąc, bo niemoc w nogach miała i z krzesła służby i gospodarstwa dozierała.

Pomimo wieku i osłabienia, babina wesołą była, nudziło się jej samej w domu z dziewczkami, syn rzadko przesiadywał, powitała nowego komornika bardzo rada, że ich w domu więcej będzie.

Strzemieńczyk też miał to szczęście, że się powierzchownością niewiastom podobać umiał. Stara jejmość dla gościa i dla syna, chcąc ich zatrzymać dłużej, wina zagrzać kazała.

– Chwalić Boga, że was mój Maciek złapał – rzekła – w domu nas więcej będzie... Nie chce mi się żenić, choć go proszę

i swatam; a ja stara już w domu podołać nie mogę... Pomożecie mi może, aby go do wesela namówić...

Tu babuś przerwała sobie.

– Nie napatrzyłeś tam kogo na weselu? – spytała, i nieczekając odpowiedzi ciągnęła dalej. – Ot i tę, Lenchen Balcerów, gdyby był jeno chciał, byłby miał, jak Bóg żyw, a dziewczę śliczne i wiano piękne...

– Ale! ale – przerwał Gaska – Balcerówniej dostać nie było łatwo. Prawda że piękna i bogata, ale za mąż iść całe nie chciała, i rodzice ledwie ją na pół uprosili, wpół zmusili...

– Cóż to jej było w głowie? – spytała stara.

– Pewnie sobie roiła panka. Wojewodzica czy kto ją wie kogo... – mówił Gaska. – A i to pewna, że choć mąż chłopak ładny i nieubogi i rodzina pocziwa, ledwie nieledwie ją matka skłoniła...

Staruszka kiwała głową.

– Drożyła się – wtrąciła – jak to one wszystkie; a takie małżeństwa przecie najlepsze bywają. Z wielkiej miłości zawczasu, potem tylko kwasy i swary...

Grześ, który słuchał z uwagą, tknięty tem, iż o Balcerównie powiadano jakoby za mąż iść nie chciała, poruszył się ciekawie.

– A zkadże o Balcerównie wiecie, iż do kobierca ochoty nie miała? – zapytał.

– Całe miasto wie o tem – rzekł Gaska. – Osobliwa była dziewczyna, bo jej pan Bóg wszystko dał, a tak chodziła zawsze zatęskniona i smutna, jakby najnieszczęśliwszą była. W końcu

kumoszki matce otworzyły oczy, że ją koniecznie za mąż wydać trzeba...

– No, i dobrze ją wydali – odezwała się matka Gąski. – Mąż, chłop dorodny, dobry, stateczny i szpetny nie jest.

Słuchający syn, palcem się w czoło uderzył, babina to postrzegła.

– To co? – przerwała – albo ona za dwoje rozumu nie ma... Wszyscy przecie i o tem wiedzą, że ona na kobietę aż nadto oleju ma w głowie. Nie wiem czy nie kłamią, ale rozpowiadali, że pisać i czytać ktoś ją potajemnie nauczył...

Zarumienił się Grześ i spuścił oczy.

– A co jej potem – dodał Gąska – wołałaby szyć i kuchni pilnować...

Matka nie zaprzeczała temu. Strzemińczyk się nie mieszał do rozmowy. Wtem gospodarz wstał i odezwał się.

– Nie pójdziecie dziś do Balcerów? Wesele trwa i pewnie jeszcze dni kilka się przeciągnie. Ja zajrzę też, chodźcie ze mną.

Zawahał się Grześ, ciągnęło go tam bardzo, obawa jakaś odpychała. Iść tam, aby mu serce bolało więcej? Nigdy on wprawdzie na wielkiej przyjaźni do swej uczennicy, nadziei żadnych nie pokładał; wiedział, że ubogie chłopie, choć szlachectwo jego coś ważyło, do zamożnej kupcowej nie mógł się posunąć, a jednak teraz, gdy ją widział zameżną, zazdrość i jakieś uczucie niewysłowionej boleści, serce mu uciskało...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gąska nalegać począł mocniej.

– Chodź ze mną. Wczoraj za wami tam wszyscy się oglądali, będą wam radzi...

– Wyście też byli na weselu? – zapytała stara.

– A jakże! – rzekł Gąska. – Stary pono znajomy Balcerów i bardzo go tam witali serdecznie.

Strzemieńczyk z gorzkim uśmiechem zwrócił się do gospodyni.

– Tak – rzekł – gdym pauprem przybył do Krakowa lat temu już sporo, pierwsi mnie żywili Balcerowie.

Staruszka potrząsnęła głową, Gąska tymczasem za rękaw go ciągnął i nalegał.

– Chodź ze mną...

Rozum iść nie kazał, a słabość ludzka ciągnęła. Grześ w końcu dał się skusić.

Dnia tego wprawdzie już wczorajszego ścisku i tłumy nie było, ale wewnątrz dworek pełniuteńki, i muzyka i ochota a okrzyki około stołów, z których miski i dzbany nie schodziły.

W progu ich powitała Balcerowa, z twarzą zmęczoną i posępną...

Grześ wsunął się nieznacznie, szukając pani młodej oczyma. Siedziała sama otoczona mężatkami, a mąż jej wesół w drugim końcu izby poił gości... Żona, jak matka, zdawała się znużoną, blada była jak wczoraj, i roztargnionym wzrokiem toczyła po izbie, gdy niespodzianie Grześ się jej nastrezył.

Lekki rumieniec okrył jej twarzyczkę, i jakby się lękała, aby gość ten jej nie uszedł znowu jak wczora, wstała żywo, śmiało

się zbliżając ku niemu...

Uśmiezek zjawiał się na jej ustach...

Strzemińczyk widząc ją wprost idącą ku sobie, musiał też naprzeciw niej kilka zrobić kroków. Goście weselni, których pełno było, podweseleni, mało na co zważali, tak byli sobą zajęci. Wśród nich więc mogli tak swobodnie rozmawiać, jakby się na osobności znajdowali...

– Długo, długo was w Krakowie nie było – poczęła cichym głosem Lena. – Wam w podróży czas biegł pewnie prędko, nam tutaj powoli. No! i wy mnie porzuciliście dzieckiem, a znaleźli w czepcu!

Westchnęła. Grześ się silił na wesołość.

– W sam czas przybyłem – rzekł – aby wam powinszować...

– Nie wiem czy jest czego – przerwała – bo mnie się iść za mąż serdecznie nie chciało... Ale ojciec kazał, matka prosiła i płakała...

Spuściła oczy jakby je ukryć chciała.

– Zostaniesz w Krakowie? – spytała.

– Muszę – rzekł Grześ – powróciłem jak wyszedłem z sakwy próżni, pracować potrzeba, a między swemi lżej i ochotniej...

Oczy Leny podniosły się teraz i długo uparcie wlepione pozostały w Grzesiu. Zdawała się porównywać żywego z tym, który został w jej pamięci.

– Nie zapominajcież o nas – odezwała się spokojnie – gdyście Bogu dzięki wrócili. Stara przyjaźń nie powinna umierać.

– Wdzięczność tem bardziej – przerwał Grześ. – U waszego

progu pierwszy znalazłem chleba kawałek i miłosierną rękę...

Na tę rozmowę poczętą ledwie, młody mąż Balcerówny nadszedł, szukając jej niespokojny, wesółą twarzą witając wczorajszego gościa... Z drugiej strony przysunęła się matka, a tuż i niektórzy z gości, przypomniawszy śpiew Grzesia, targać go zaczęli, znowu się o pieśni dopominając.

Dlaczego Strzemieńczyk znalazł się teraz usposobionym lepiej i prosić się nie dając, wziął cytrę, sam on pono nie wiedział... Kołem otoczyli go wszyscy, cicho się w izbie zrobiło, i miłosna pieśń stara niemiecka zabrzmiała... Grześ wprawdzie zdawał się na struny cytry patrzeć tylko, lecz ukradkiem wzrok jego biegał po izbie...

Smutek ranny, niepokój i zwątpienie, które go do celi Izajasza zawiodło, wszystko co od niego słyszał, zapomniane zostało... Świat mu się wydał nie tak czarny, życie w nim nie tak utrapione, przyszłość nie tak groźna...

Mógł zdaleka patrzeć choć na cudze szczęście... Nie sami źli ludzie byli do koła... Śpiew przynosił pociechę, a grzechem być nie mógł...

Czemu nie miał pozostać takim śpiewakiem ptaszyną, co nucąc drugim i sobie żywot osładza?...

W tych myślach dokończył piosenki, i natychmiast drugą rozpoczął... Cały teraz był znów, jak nieraz w chwilach niedoli wędrownego życia, w pieśni, która go przenosiła jakby gdzie wyżej i dalej, a nie dała boleć nad tem, co było blisko.

Cudowna moc poezji i muzyki upajała jego samego powoli,

a siła jej też ze śpiewaka promieniejąc, owładывała wszystkimi.

Kobiety miały na oczach łzy, mężczyźni dumali, wzdychali starzy, rozmarzali się młodszy, on zapominał... Stąpano coraz ostrożniej, szeptano coraz ciszej, i gdy on nareszcie zamilkł, długo jeszcze czekano, czy nie rozpocznie na nowo...

Wtem pani młoda, która z innymi razem zasłuchiwała się w pieśniach, jakby rozbudzona, poszła do stołu, nalała kubek i przyniosła zadumanemu śpiewakowi.

Grześ się porwał.

– Za zdrowie wasze! za szczęście! – zawołał głośno, ale ze drżeniem jakimś.

Obstąpili go wszyscy, rozmowa na chwilę przerwana stała się gwarną, a student korzystając z nowego napływu gości, wysunął się do nowego swojego mieszkania.

W kilka dni potem był już obeznany ze wszystkimi i oswojony ze swym położeniem. Na tułactwie wielu rzeczy liźnął i zakosztował, do wielu skarbnic zajrzał, nie miał czasu nigdzie czerpać do dna. Wszystkie strony słabe nauczania i nauki bystry wzrok jego pochwytał, a poważnych zaniedbał... Potrzeba było czas niestracony, ale dopiero teraz mający się na korzyść obrócić, spożytkować, biorąc się do studyów gorliwie. Wiedział już Grześ, że łupin znajdzie wiele, że powłoki mu zacieżą, formy znużą, wywody zdadzą się niepożyteczne i długie, lecz rozumiał i to, że wykłady nie dla samych bystrych i pojętnych przeznaczone były, ale też dla nierozbudzonych i leniwych, którzy nic o własnej sile nie mogli zdobyć, a wedle wyrażenia

gminnego, wszystko im łopatą w głowę kłaść było potrzeba.

Z pomocą dawnych swych znajomych i towarzyszków, za protekcją kanonika Wacława, nietrudno mu było przyjętym zostać na słuchacza w kolegium mniejszem, które sam wybrał sobie...

Pomnażały się właśnie w owym czasie kolegia, i akademia rozrastała szczęśliwie, chociaż cała ona na ofiarności ludzi, na miłości nauki i poświęceniu się dla niej opierała. Szczupłe były, zaledwie najniezbędniejszym potrzebom starczące, pierwsze fundusze profesorów, którzy jeżeli głodem nie marli, winni byli swym beneficjom duchownym i bardzo skromnym wymaganiom. W kolegium większem i najstarszem, na stół (*mensa vere philosophica*), którym się tylko filozofowie mogli zaspokajać, zbierano co tydzień grosz wdowi... Jadano razem i wesołość a chrześcijańska wstrzeźliwość stanowiły potraw ubogich przyprawę.

Mieszkali tu sami teologowie i filozofowie, a życie było istnie klasztorne i reguła surowa...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.